

WYDAWNICTWO IM. M. BRZEZIŃSKIEGO.

JAN KILIŃSKI

== SZEWC WARSZAWSKI ==
I PUŁKOWNIK WOJSK POLSKICH

Z „INSUREKCYI“ WŁ. ST. REYMONTA
Z DODATKIEM „PAMIĘTNIKÓW KILIŃSKIEGO“
∴ ∴ OPRACOWAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ ∴ ∴
== HENRYK MOŚCICKI. ==



WARSZAWA. — 1919.
SKŁAD GŁÓWNY W „KSIĘGARNI POLSKIEJ“, WARECKA 15.

Biblioteka Powiatu Łaskiego

Nr 2222 Dz. 92

W-81/72

9506



27622

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 8 2 9 6 5

DRUK. KLAMKOWSKI I RAJSKI
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 21

JAN KILIŃSKI.

Przed stu laty zmarł w Warszawie Jan Kiliński, szewc na Starem Mieście i pułkownik wojsk narodowych polskich. Imię jego, obok Kościuszki i Bartosza Głowackiego, czci po dzień dzisiejszy Polska cała, a czyny bohaterskie jaśniają chwałą nieśmiertelną na kartach naszych dziejów.

Pochodził z odwiecznej piastowskiej ziemi, z Wielkopolski: urodził się w grudniu r. 1760 go w Trzemesznie, z Augustyna i Marcyanny Kilińskich. Ojciec Jana był mularzem; spadłszy 31 października 1776 r. z rusztowania przy odnawianiu kościoła trzemeszeńskiego, życie zakończył; jeden z braci, Baltazar, osiadł w Poznaniu, drugi, Ignacy, gospodarował na dzierżawach. Przyszły wojak od lat pacholących zaprawiał się do rzemiosła szewckiego, w którym, zwłaszcza w szyciu trzewików damskich, nieladajakiego miał podobno nabrać wydoskonalenia. Jako młodzieniec dwudziestoletni, porzucił strony rodzinne i udał się do Warszawy. Wrodzony spryt i gładkość obejścia, dowcip i znajomość rzemiosła sprawiły, że młody szewc ze Starego Miasta rozległ, u sam go nawet dworu królewskiego, pozyskał wzięcie. Pełen zawsze humoru, zręcznym lubiący się popisać wierszykiem albo anegdotką, umiał Kiliński „przy braniu miary na trzewiki powiedzieć coś po-

chlebnego, chwalać małą nóżkę, jej tok i zgrabność; nieraz pokazywał zadziwienie na widok nogi jakiej magnatki, chociaż grubej i dużej, wynajdując w niej jakieś przymioty godne jego pochwały". Wkrótce niemałego dorobił się grosza, a poznawszy urodziwą szesnastoletnią Maryannę Rucińską, rodem z Czerwińska, uderzył w konkury i niebawem poszedł z nią do ołtarza. W r. 1789 kupił z licytacji za 16,600 złotych pol. kamieniczkę przy Szerokim Dunaju pod № 145, gdzie warsztat swój założył. Krewki, w gorącej, jak to mówią, wodzie kąpany, wadził się z sąsiadami, nieraz dobrze natarł uszu terminatorom, aż jeden, srodze przezeń pobity, przed sąd pozwał majstra. W kołach obywateli dzielnicy staromiejskiej rósł jednak Kiliński w powagę i zaszczytne godności. Gdy Sejm Wielki powziął pamiętną uchwałę 18 kwietnia 1791 r. o zrównaniu mieszczaństwa ze szlachtą, Kiliński całą duszą oddał się sprawom publicznym, widząc w tem światłem postanowieniu źródło odrodzenia dla Ojczyzny. W dobrobycie nie zasklepiły się jego uczucia narodowe, serce biło szczerą, gorącą miłością kraju. Powołany do grona radców miejskich, wielką cieszył się wziętością i nieraz był wzywany do łagodzenia sporów i zatargów między ludem rzemieślniczym.

Tymczasem nadeszły doniosłe wypadki polityczne. Sejm uchwalił w dniu 3 maja nową Ustawę rządową, czyli Konstytucję, zapewniającą Polsce lepszą przyszłość i zwolnienie od nienawistnych rządów moskiewskich. Ale wrogowie nie chcieli, by Polska się odrodziła; wybuchła wojna, w której słabe siły naszego kraju nie mogły sprostać armiom rosyjskim i pruskim. Na domiar nieszczęścia, niektórzy z wyrodnych Polaków utworzyli związek, pod mianem Konfederacji Targowickiej, i oddali się pod opiekę Moskwy, by przy jej pomocy zaprowadzić dawne rządy, oparte na samowoli garści zaprzańców i zdrajców. Nastą-

pił drugi podział Polski, kraj zalały wojska carowej i króla pruskiego. Jednakże nie wszystkie serca zamilkły w trwodzie i nie wszyscy godzili się ze spadłą na naród hańbą. Szczerze ojczyznę miłujący jęli przemyśliwać nad wypędzeniem najeźdźców i przywróceniem Konstytucji 3 Maja. Po wsiach i miasteczkach, po dworach i klasztorach odbywały się tajemne zjazdy i narady. Niejeden uczciwy patriota broń gotuje skrycie, towarzyszków gromadzi, a w nocy uszy tęży, czy dzwony nie uderzą na alarmy wojenne, czy nie padnie skąd wezwanie do boju. I, jak pięknie mówi poeta:

Wkrótce się okolny jakiś ogień żarzy,
Dziwna jest postać kraju, wyraz wszystkich twarzy,
Jakaś tajna niezwykła czynność, ruch po dworach,
Zda się, kordy ¹⁾ i bronie w nocnych znoszą porach,
Idą skrytą ofiarą srebra i klejnoty,
Po wszystkich razem kuźniach huczne tętnią młoty...
Ciśnie się lud do świątyń i z grzechu obmywa,
Wsparcia polskich patronów łąą i pieśnią wzywa,
Błaga dla chat obrony, dla Ojczyzny cudu,
A kapłan skrytej myśli błogosławi ludu...
Myśl ta, jak sieć płomienna, szerzy się, rozrasta,
Łączy dworce z klasztory, z wsiami wiąże miasta;
Krąży po lasach, górach, w jaskiniach się żarzy,
Tętni w sercu młodzieńców i w śnie starców marzy...

I Kiliński nie pozostał obojętny; stanął w pierwszym rzędzie tych, co radzili w Warszawie nad przygotowaniami do wybuchu powstania przeciw Moskalom. Spraszał do siebie starszych cechowych i co roztropniejszych czeladników, bywał na nocnych schadzkach, jedną do sprzysiężenia oficerów i rzemieślników; wspólnie z księdzem Meierem, generałem Działyńskim i kupcem Kapostasem układał plany napadu na wojska rosyjskie w Warszawie. Spiskow-

¹⁾ Miecze, pałasze.

cy porozumiewali się z podobnie myślącymi patriotami w Wilnie i Krakowie. Na Naczelnika powstania obrano Tadeusza Kościuszkę, który odznaczył się w niedawnej wojnie z Moskalami, a teraz przebywał za granicą, czekając na wezwanie z Polski.

Spisek rozgałęział się coraz bardziej, wpływ Kilińskiego, całą duszą oddanego sprawie narodowej, ogarniał coraz szersze koła rzemieślników i mieszczan warszawskich. Kiedy doszła do stolicy radosna wieść o zwycięstwie Kościuszki pod Racławicami (4 kwietnia 1794 r.), postanowiono przystąpić do działania bezzwłocznie, tembardziej że poczęły krążyć uporczywe pogłoski o zamierzonym przez Moskali dokonaniu rzezi na bezbronnej ludności. Mówiono, że w Wielki piątek lub Wielką sobotę nabożeństwa odbędą się we wszystkich kościołach o jednej godzinie, że oddziały rosyjskie otoczą je wtedy i zamkną lud, grożąc nabiteymi armatami, że rozbroją polskie wojska i dokonają uwięzienia spiskowców.

Dłużej zwlekać było niepodobniństwem. Nad ranem w Wielki czwartek, 17 kwietnia 1794 r., wystąpiono do walki. Kiliński z przyjacielem swym Józefem Sierakowskim, który był „z profesyi rzeźnikiem, ale też dobrze nieprzyjaciółom skórę rznął“, ruszył na czele uniesionego szlachetnym zapałem ludu w bój śmiertelny z wrogiem. Po trzydziestu kilku godzinach rozgromiono przerażone, lecz zaciekle stawiające opór wojska rosyjskie.

Szczegóły tych wypadków opisał Kiliński w swoim pamiętniku, z którego ciekawsze poniżej podaliśmy wyjątki. Nadto znajdziecie tu dalej wierny a wstrząsający obraz oswobodzenia Warszawy z najazdu, skreślony z niezrównaną siłą i dech zapierającą grozą przez znakomitego naszego pisarza Władysława Reymonta. Potrafił on przenieść się myślą w owe czasy na zawsze pamiętne w dziejach Warszawy, żywych pokazać nam ludzi, targających pęta niewoli, —

bohaterów, co, jak Kiliński, na bój święty szli z wiarą w sercu i wielkiem Polski i wolności ukochaniem.

Po wypędzeniu Moskali Kiliński wszedł do utworzonego niebawem rządu, czyli tak zwanej Rady Najwyższej, po przybyciu zaś Kościuszki do Warszawy otrzymał od niego tytuł pułkownika i dowództwo nad 20-tym pułkiem piechoty, który sam uformował. Wedle świadectwa generała Henryka Dąbrowskiego, „z gorliwością i zapałem, z równem poświęceniem się i wytrwałością dowodził na czele pułku swego, dając tysiączne dowody waleczności i męstwa“. Podczas oblężenia Warszawy przez wojska pruskie dzielnie bił się Kiliński pod Powązkami i ciężkie odpierał szturmy nieprzyjaciela. Pewnego dnia Prusacy uderzyli całą siłą, już zdawało się, że złamią linie polskie i wtargną do miasta, gdy Kościuszko na czele pułku Kilińskiego przybył z pomocą, poprowadził atak na „żelazne kadry¹⁾ piechoty pruskiej“, rozbił je i dotkliwą zadał im klęskę.

Po bitwie maciejowickiej i wzięciu Kościuszki do niewoli nowy Naczelnik, Tomasz Wawrzecki, wysłał Kilińskiego do Poznania z poleceniem wszczęcia tam działań powstańczych. Tymczasem wódz rosyjski Suworow, zdobył szturmem Pragę, okrutną sprawiając rzeź ludności bezbronnej. Kiliński wpadł w ręce Prusaków, którzy go uwięzili, a następnie, na stanowcze żądanie Suworowa, wydali Rosyanom. W grudniu 1794 r. odwieziono Kilińskiego wraz z Kapostasem, prezydentem Warszawy Zakrzewskim, Ignacym Potockim i innymi do Petersburga, gdzie przesiedział w fortecy Petropawłowskiej prawie dwa lata, pociągany do badań i na ciągłe narażony przykrości. Czas pobytu w więzieniu spędzał na spisywaniu swych wspomnień, oraz układaniu wierszy, „wyrażających tęsknotę samotności

¹⁾ Szeregi wojska.

i gorące uczucia“; prowadził też długie rozmowy z towarzyszami niedoli.

Po uwolnieniu Kościuszki i innych więźniów przez cara Pawła I i Kiliński odzyskał wolność; czas jakiś przebywał jeszcze w Petersburgu. Wtedy poznał go paź króla Stanisława Augusta Sagatyński, który tak mówi w swym pamiętniku o bohaterze powstania warszawskiego: „Największą miał pasyę ¹⁾ rozprawiania o rewolucyi... Rozpowiadając walkę, wpadał w największy zapał: zdawało mu się, że znów bije Prusaków i Moskali. Był to człowiek wesołego humoru, przystojny, wzrostu średniego, dosyć ciała na sobie mający, oczy czarne, nos orli, dosyć spory, pod którym czarny jak heban ²⁾ wąs, starannie utrzymany, przyczyniał się niemało do okazałości jego twarzy, która w uśmiechu, okazując zęby białe, jak gdyby z kości słoniowej, tem bardziej przyjemniejszą była. Nie posiadał wyższego wychowania, ale miał zdrowy rozsądek, był rzetelny i pocziwy, a nadewszystko przywiązany do ojczyzny“.

W grudniu 1796 r. Kiliński wraz z żoną, synami, Franciszkiem i Wawrzyńcem, oraz córkami, Maryą i Agnieszką, przybył do Wilna, gdzie niebawem założył warsztat szewcki. Przy pomocy paru czeladników, dawnych towarzyszków broni, wyrabiał obuwie, mające niezwykle powodzenie, aczkolwiek kazał sobie płacić nader słone ceny: od 2 do 5 dukatów za parę. „Był to — pisze o Kilińskim pewien jego znajomy wileński — człowiek typowy owego czasu, nie posiadający wprawdzie wychowania salonowego, ale bardzo przyzwoity; bywając w wyższych towarzystwach, nabył poloru ³⁾ i znajomości świata. Gdy się dowiedziano w Wilnie o jego przybyciu, najpierwsze osoby obojej płci starały się go poznać, wiedząc o jego poświęceniu i rzadkiej

¹⁾ Namietność, silną skłonność. ²⁾ Drzewo czarnego koloru.
³⁾ Ogłady.



Jan Kiliński Putkownik

Według portretu wykonanego z natury
w Warszawie przez Karola Bechon'a.
(Miniatura w Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu).

Biblioteka Powiatu Łaskiego

Nr. —

odwadze. A że był damskim szewcem, przeto damy, pod pozorem zamówienia dla siebie roboty, przybywały same, aby widzieć szewca-pułkownika, który w r. 1794 na czele czterech tysięcy rzemieślników dał dowody niepospolitej waleczności. Prowadził w Wilnie bardzo porządną dom, pięknie umeblowany. Sam o piątej rano już był w fartuchu, przykrawając roboty, a o dziesiątej wychodził do miasta, ubrany jak dygnitarz. Miał piękny zapas garderoby polskiej i słuckich bogatych pasów, codzień go więc prawie widziano w innym kontuszu sajetowym, żupanie atłasowym lub grodeturowym ¹⁾, innej czapce i innych kolorowych safianowych butach... Tak wystrojony, wizytował wszystkie znakomitości litewskie; wszędzie był przyjmowany, zapraszany na obiady i wracał do domu z obstalunkami, nierzadko z pełnemi garściami złota²⁾. Zawsze ruchliwy i czynny, urządzał publiczne zabawy wieczorne pod nazwą „Pig-Mig“, chętnie przez Wilnian uczęszczane.

Wśród pracy zawodowej i rozrywek towarzyskich nie zapomniał wszakże Kiliński o winnej Ojczyźnie służbie. Do utworzonego na Litwie w r. 1797-ym stowarzyszenia tajnego, które miało na celu wysyłanie młodzieży do powstających we Włoszech legionów polskich pod generałem Dąbrowskim, przystał nasz bohater odrazu. Aresztowany, musiał odbyć powtórna podróż przymusową do Petersburga; poddawany był w więzieniu badaniom, szczęśliwie jednak zdołał uniknąć kary. Uniewinniony wyrokiem sądu, w końcu roku 1797-go powrócił do Wilna.

Po latach kilku zjechał Kiliński do ukochanej Warszawy, lecz znalazł ją wyludnioną, zubożałą, rządzoną przez Prusaków ²⁾. Nie zastał już dworu królewskiego i tych

¹⁾ Kontusz, żupan, pas słucki — stroje narodowe polskie. Sajeta — kosztowne cienkie sukno; grodetur — ciężka materya jedwabna.

²⁾ W Warszawie od r. 1796 do 1806 rządzą Prusacy.

dam, dla których wyrabiał niegdyś wytworne trzewiki. Podupadł majątkowo, zabrnął w długi, nie piastował już urzędu radnego w magistracie. W r. 1806 wojska francuskie cesarza Napoleona po rozbiciu Prusaków zajęły Warszawę. Kiliński, uniesiony zapałem i nadzieją odrodzenia Ojczyzny, wy dobył starannie przechowywane dwie chorągwie 20 go pułku piechoty, którego w r. 1794 był dowódcą, i wywiesił je na bramie powitalnej, wystawionej na przybycie Napoleona przy kolumnie Zygmunta na Krakowskim Przedmieściu. Podczas przeglądu wojsk w dniu 18 stycznia 1807 r. otrzymał pozwolenie ofiarowania owych chorągwi cesarzowi, któremu zarazem osobiście polecił dwu swoich synów, zamierzających wstąpić do służby wojskowej.

Po przegranej przez Napoleona wojnie z Rosją w r. 1812 tym, stary Kiliński zebrał w Warszawie parę tysięcy rzemieślników i gotów był znów do wystąpienia przeciw ciągnącym ku stolicy Moskałom. Ale do bitwy nie doszło, miasto bez oporu zajęły pułki rosyjskie. Kilińskiego obawiano się jednak i przed samemi świętami wielkanocnymi r. 1813-go, jako w rocznicę powstania 1794 r., zatrzymano go przez trzy dni na odwachu. Podobno na pytanie generała rosyjskiego, czy nie zamyśla ponowić ruchawki zbrojnej, niez pomieszany Kiliński miał odrzec: „O, gdybym mógł, pewniebym ponowił!“

Wypadki wojenne pogorszyły stan majątkowy Kilińskich, zakład szewcki coraz skromniejsze dawał dochody. Schyłek życia naszego bohatera opromieniały jedynie wiadomości o „postępowaniu, pełnem honoru i uczciwości, złączonem z wiadomością sztuki wojennej i męstwem“ starszego syna Franciszka, który, jako porucznik gwardyi napoleońskiej, brał udział w wojnach: hiszpańskiej, austriackiej i rosyjskiej (w r. 1808, 1809 i 1812—13) ¹⁾.

¹⁾ Franciszek Kiliński zmarł w r. 1820, Wawrzyniec w r. 1843.

Pragnąc zapewnić byt drugiej swojej małżonce, Anastazy z Jasińskich ¹⁾, oraz siedmiorgu dzieciom, jał Kiliński czynić starania o przyznanie, jako byłemu wojskowemu, emerytury. Na mocy świadectw generałów: Wawrzeckiego, Dąbrowskiego i Zajączka, wpisany został do armii Królestwa Polskiego w stopniu pułkownika z emeryturą dożywotnią w kwocie trzech tysięcy złotych pol., którą po jego śmierci pobierała żona aż do końca r. 1831-go.

Kiliński zmarł 28 stycznia r. 1819-go w domu swym na Szerokim Dunaju. Na wyprowadzenie zwłok, w dniu 31-ym stycznia, wyległy niezliczone tłumy. Ciało złożono pod kościołkiem powązkowskim w miejscu, na którym później stanął grób Franciszka hr. Potockiego. W ścianę kościoła wmurowano tablicę ze stosownym napisem. Dziś ani z mogiły Kilińskiego, ani z tablicy niema nawet śladu. Przez długie lata przechodnie na Szerokim Dunaju odkrywali głowy przed domem Kilińskiego, pomni czci dla jego zasług i tego płomienia miłości Ojczyzny, który rozpałił w sercach współbraci.

Mało jest imion bohaterów narodowych, któreby tak, jak Kilińskiego, silnie wraziły się w pamięć narodu. Dla wrogów było ono zawsze postrachem, gdyż przypominało czasy, kiedy to lud warszawski, rozgorzały zemstą za poniewierkę godności narodowej, za łupiestwa i zabór ziemi ojczystej, chwycił pod Kilińskiego przewodem za broń i sprawił Moskałom „weselisko krwawe“.

Dla nas, żyjących w niewoli, lecz z wiarą niezłomną w sprawiedliwą karę na ciemiężców i w jasne świtę wol-

¹⁾ Pierwsza żona Kilińskiego zmarła w r. 1811, z Anastazją ożenił się w r. 1814.

ności, był Kiliński wzorem tego ukochania Ojczyzny, które, mimo ucisków i prześladowań, rośnie, potężniało i w godzinach wyzwoleń z pęt niecnego jarzma świadczyło przed światem całym, że Polska żyje i żyć będzie, póki tchu w naszych piersiach i krwi w żyłach.

Było w powstaniu Kościuszki wielu mężniejszych i tęższych siłą charakteru ludzi od Kilińskiego. Ale on pierwszy z mieszczan ofiarnym stwierdził czynem, że obrona kraju jest obowiązkiem nie tylko szlachty, nie tylko chłopów lub jakiej innej warstwy narodu, lecz wszystkich porównanie synów tej Matki-Ziemi karmicielki, którą przemoc wroga dławia, — że nikt nie może być głuchym na wołanie Ojczyzny.

I dziś, gdy z pośród gromów i klęsk, i tej krwi, co się szeroko lała, wstaje Polska z ciemnic niewoli i nowych żąda od dzieci swych poświęceń, czcimy pamięć szewca-bohatera, który nie pytał, jaką ma być Ojczyzna, lecz rzucił się bez wahania w walkę uporną o Jej Wolność, Całość, Niepodległość.

Henryk Mościcki.

POWSTANIE W WARSZAWIE

(Z PAMIĘTNIKÓW KILIŃSKIEGO).

..... Jeżeli kiedykolwiek w Warszawie ludzie nie byli nabożnymi, to ja zaręczam, iż w ten dzień czwartkowy¹⁾ aż nadto się do Boga modlili i aż nadto poświęcić musieli, a to dlatego, iż w całej Warszawie nikt ognia nie palił, ani też nie gotował, ale tylko ten cały dzień od kobiet był przepędzony na mdłościach i mdleniach i największym płaczu.

Czytelniku! jak najserdeczniej cię przepraszam, nim zacznę to powstanie opisywać. Bardzo wiele tu znajdziesz miszkulancyi,²⁾ gdyż jest rzeczą nigdy niepodobną, aby razem można opisywać wszystkie czynności, ponieważ się wszystkie razem odbywały, o których ja jednak nie zapomnę, i wszystkie, czy złe, czy dobre, wszystkie umieszczę. A teraz przystępuję do swoich, jako najpierwszych czynności, którem robił, czynił, zdecydował. A nasamprzód: rewolucja ta zaczęła się trzy kwadransy na trzecią, równo ze dniem, gdyż tak przez Rafałowicza³⁾, prezydenta, królowi wydana była, a wojskowi nim się skoncentrowali⁴⁾, dopiero o godzi-

¹⁾ Dnia 17 kwietnia 1794 r. ²⁾ Bezład. ³⁾ Jędrzej Rafałowicz, prezydent m. Warszawy w r. 1793, targowiczanie. ⁴⁾ Skupili w jednym miejscu.

nie czwartej sygnał dano. Mirowscy¹⁾ zaczęli o godzinie trzeciej, ułani królewscy także o godzinie trzeciej, Działyńscy²⁾ zaczęli o godzinie piątej, artylerya i gwardya koronna o godzinie czwartej, zaraz po wydanym sygnale. Inżynierzy byli na Pradze; ci tylko urywali nieprzyjaciela po trosze. Początek najpierwszy zaczął się na Starem Mieście, a to przeze mnie samego rozpoczęty, to jest tym sposobem.

Gdy rozdał ładunki żołnierzom marszałkowskim i powracałem już do swego domu, w tym momencie dano mi znać z Zamku od porucznika Strzałkowskiego, w mirowskiej gwardyi będącego, który był u króla na warcie, a ten ustyszał króla te słowa mówiącego: „Biadaż mnie, oto ja jestem od wojska i ludu mego opuszczony, gdyż bez mojej wiedzy rewolucyę rozpoczynają“. Więc król krzyknął do żołnierzy u siebie na warcie będących, aby się starali to zaspokoić, a zaraz dał znać Igelströmowi³⁾ przez generała Byszewskiego. Więc ja, nie mając czego dalej czekać, zaraz krzyknąłem na ludzi moich, na wieży ratuszowej będących, aby na gwałt trąbiono i dzwoniono. Wtem oficer moskiewski z dobytym pałaszem jak najśpieszniej z rynku leciał, którego ja pierwszego pałaszem moim, choć się bronił, zabiłem, i ten nieborak pierwszą stał się ofiarą; a za tym moim przykładem zaraz się wszystek lud wziął do obrony, i to, co tylko było w Starem Mieście, wszystko w moment wyprzątnęli. Potem udałem się na Podwale, chcąc tam otoczyć pałac, w którym Igelström stał, ale to już nierychło było, ponieważ konnica, co była na powinności, wyszła z pałacu i oczekiwała dalszych Igelströma rozkazów; a ja dałem rozkaz obywatelom, aby się udali do kamienic i stamtąd jak można aby ich sprząтали, a miano-

¹⁾ Żołnierze gwardyi królewskiej, mirowskimi nazwani od imienia dowódcy, hr. Miera. ²⁾ Żołnierze pułku imienia Działyńskiego. ³⁾ Otto Igelström, wódz wojsk rosyjskich w Warszawie w r. 1794.

wicie, aby dali baczenie na adjutantów, których Igelström ze swymi ordynansami wysyłać będzie, aby tych jak najprędzej sprzątać zaczęli. Jakoż, w samej rzeczy, Igelström wysłał swego synowca z generałem Byszewskim, chcąc się od króla informować, ale to już nierychło było; synowca przed pałacem pani Krakowskiej¹⁾ zabito z tej strony Podwala, a Byszewskiemu generałowi skórę przekłęcie pałaszami wytrzepano. I toć to było dla Igelströma najgorsze, że mu prawie co do jednego z adjutantów wybito, tak iż żaden do pułku rozkazu nie przyniósł; dlatego to Moskale byli jak głupcy, gdyż sami nie wiedzieli, co mają robić, czy bić, lub też nie.

Ja, widząc to, iż tu w mieście dobrze się dzieje, ruszyłem się z kilkoma obywatelami przez bramę poboczną i przesunąłem się przez konnicę moskiewską, i udałem się w uliczkę koło pałacu Raczyńskiego, chcąc się przerznąć na Długą ulicę, a wtenczas kawalerya pułkownika Baura maszerowała całą ulicą, jak jest szeroka; a ja wtenczas z ludem stałem na parapecie, czekając na nich, jakby prędko przejść mogli, a wtem setnik kozacki zakomenderował w tę uliczkę; ja już rozumiałem, że nas wszystkich wykłują, gdyż już wcale nigdzie się rejterować²⁾ nie było można. Jeden oficer kazał nas kłuć, a drugi nie kazał, dlatego że spokojnie staliśmy; ale jeden ostatni kozak tak był nieszczęśliwy, że mu koń jego tak się znarowił, że ani wprzód, ani wzdad żadną miarą pójść nie chciał, ale się tylko kręcił; ja, stojąc na parapecie, jak golnę tego kozaka w kark ręką, tak mój kozak na ziemię upadł; a ja, dobywszy jego własnego pałasza, jemu łeb urznąłem i na Raczyńskiego dziedziniec przerzuciłem. A potem udałem się

¹⁾ Panią Krakowską nazywano żonę hetmana Branickiego, kasztelana krakowskiego; pałac jej był na Podwalu. ²⁾ Rejterować się—cofać się, uciekać.

na Długą ulicę i pomiędzy Moskalami maszerującymi dostałem się na Krasiński dziedziniec, a stamtąd udałem się na Muranowskie. Chciałem się udać do koszar artylerii i dowiedzieć się, dlaczego sygnału tak długo nie dają; ale widząc to, że na Muranowskim stało dziewięć sztuk armat i żołnierze przy nich spali, podeszliśmy ich tak szczęśliwie, żeśmy tylko trzech zabili, i wpadliśmy na odwach i broń ich zabraliśmy, a żołnierzy śpiących wzięliśmy 32; armat wzięliśmy dziewięć sztuk i tyleż powózek amunicji; co zdobywszy, udaliśmy się prosto do koszar. Lecz w tym momencie nasi dali wystrzał ze trzydziestu sztuk armat, co prawdziwie mogę powiedzieć, że się ziemia pod nami trzęsła; a my też dochodziliśmy do koszar, a oddawszy jeńców moskiewskich w ręce naszym Polakom, sami zaraz ruszyliśmy z temi armatami, które nam bardzo wielką pomocą były.

Po wydanym sygnale, prawdziwie, że ja dopiero cokolwiek odetchnąłem, bom się bardzo lękał, by przypadkiem nasze wojska obywateli na rzeź nie wystawiły; ale skoro tylko po wydanym sygnale, tak zaraz nam jako szarańcza na sukurs¹⁾ lecieli; a tak ja do moich zdobytych armat dziewięciu dostałem kanonierów osób trzydzieści i dwóch oficerów: porucznika Sosnowskiego i kapitana Roppa, z którymi udaliśmy się na dziedziniec Krasiński, gdzie daliśmy się niezmiernie we znaki, gdyż Moskale bynajmniej się nie spodziewali, abyśmy tam tak daleko w sam środek wleźć mogli. Kapitan Ropp kazał kartaczami nabić dwanaście armat; tam bramą wpadliśmy, a wyrzucaliśmy armaty w sam środek Miodowej ulicy, gdzie już było Moskali przynajmniej cztery tysiące ludzi, tak dalece, że cała ulica zapchaną była. A kapitan, wyrzucawszy dobrze armaty, jak kazał dać ognia, tak ja sam zrozumiałem, że się sądny dzień dzieje, bom ja jeszcze

¹⁾ Na pomoc.

nie słyszał tak wielkiego krzyku i tak wielkiego jęku; a gdy poprawi raz drugi wystrzałem, to Moskale cała ulica trupami i rannymi pokryta została. O, mój Boże! ja wtenczas to pierwszy raz widziałem, aby za dwoma wystrzałami tak wiele zginąć mogło. Wtem Moskale jak nam dali odpowiedź od pałacu Igelströma, tak nam zaraz zginął porucznik Linowski, pięciu kanonierów i ośmiu obywateli; a w tym momencie kawalerya Baura, pułkownika moskiewskiego, stała na Długiej ulicy i rozciągała się aż do naszego arsenału; więc ten pułkownik zaraz uderzył na nas. My, widząc to, że nie jesteśmy w stanie tam utrzymać się, musieliśmy się stamtąd rejterować, a to w tę samą bramę, którąśmy weszli, i tak szczęśliwie, odstrzeliwając się, rejterowaliśmy się i bramę za sobą zamknęliśmy. A sami, widząc to, że nam Moskale mogą zastąpić drugą bramę, więc poczęliśmy tą ulicą umykać ku Franciszkanom; aż tam na nas maszerowała piechota, do której my dawszy ognia kartaczami, bardzośmy jej szkodzili; ale gdy się oni już wpakowali w tę ulicę, więc im od rynku z jednej strony zastąpili rzeźnicy, a my z drugiej strony, i co do jednego wybiliśmy, tak dalece, że kroku nie można było stąpić przed trupami.

Potem kapitan Ropp udał się napowrót, widząc przeciw lecących kozaków, którzy zaraz atakowani byli kartaczami. Ja zaś, lubo chciałem z tą kompanią kontynuować dalej, ale mi nie dano, tylko musiałem się dobywać przed Dominikanów, gdzie Moskale bardzo z armat bili, gdzie pod żadnym pretekstem przerznąć się nie mogłem, a tam obok kościoła Paulińskiego żołnierze marszałkowscy bardzo się bronili. Ja uważałem wystrzały armatnie, a bojąc się, bym darmo nie zginął, zaraz po wystrzale na brzuchu przesunąłem się do kościoła Paulińskiego i tam znowu ruszyłem od bramy Nowomiejskiej na Podwale do żołnierzy miejskich, którzy tam prawie próżno stali, aby i oni sta-

rali się ulicę Podwale od Moskali uprzątnąć, gdyż i tam konnica stała.

Po takim zadysponowaniu ¹⁾ udałem się z bardzo wielu obywatelami za Bernardyński i tamtędy udałem się wąską uliczką do Karmelitów, chcąc dać sukurs pułkowi Działyńskiego, którego jeszcze wcale słyhać strzałów nie było. Ale oni, widząc naprzeciw siebie bardzo wielką potęgę Moskali, nie mogli podług sygnału uderzyć na nieprzyjaciela, bo jak się już raz byli posunęli za Moskałem, tak zaraz za jednym wystrzałem stracili Działyńscy ludzi sto pięćdziesiąt; więc my jak najprędzej szliśmy w sukurs, i zaraz na Krakowskim Przedmieściu poczęliśmy ognia do nich dawać, a przerzynaliśmy się ku Saskiemu dziedzińcowi: co się też stało, bośmy się szczęśliwie dostali na Koński Targ, ale nam kilka osób ubyło, bo nam ich zabito.

Nie mogę ja się tu tak doskonale wypisać, jak tam się pomiędzy nami działo, bo prawdziwie cudem to nazwać można było, co się działo przed kościołem Świętego Krzyża; gdyż tam było wystawionych armat dziesięć pomiędzy pałacami Tyszkiewicza i Małachowskiego, wpoprzek ulicy, które tam dziesięć armat stały i tam była największa forsa, ponieważ Moskali z okładem dziesięć tysięcy było, a do tego jeszcze jeden obywatel kazał nawieźć ze dwakroć sto tysięcy cegły, gdzie Moskale sobie za tą cegłą jak w bateriach bezpiecznie stali i stać mogli. I tak ja muszę tu dać świadectwo trzem obywatelom, którzy sobie tak przytomnie zrobili, bo dwaj byli na wieży świętokrzyskiej, a jeden zakradł się do szulerhauzu ²⁾, który stał przy pałacu Tyszkiewiczów, a wszedłszy w niego, tam okienkiem z boku zaczął do kanonierów strzelać, a ci z wieży tam prawie wszystkich wybili i także tylko na cel brali samych oficerów.

¹⁾ Rozporządzeniu. ²⁾ Budka dla wartowników, szyldwachów.

Widząc księżę Gagaryn, iż mu tak padają oficerowie i kanonierzy, sam się na koniu wysunął pod Saską kuźnię, a kowalski chłopiec, wyskoczywszy z Saskiej kuźni z szyną żelazną rozpaloną, jak gruchnie księcia poza ucho, zaraz go zabił i odrazu spadł z konia. Moskale, widząc to, iż ich wódz nie żyje, bardzo się strwożyli; a wtem pułkownik Hauman, gdy mu sto pięćdziesiąt ludzi Moskale ubili, zaraz podzielił na trzy kolumny żołnierzy swoich i jedną kolumnę posłał na Szolec, aby się starali wymaszerować przed Dominikanów Obserwantów, a drugą kolumnę posłał koło Dzieciątka Jezus, a sam oczekiwał, aż tam Moskałom zrobią dyferencję ¹⁾, aby oni sił swoich ujęli, co było przy Trzech Krzyżach. A ja, dążąc z kilkuset obywatelami im na sukurs, trafiliśmy się blisko Dzieciątka Jezus; więc zaraz złączyliśmy się razem i napowrót przez Grzybów maszerowaliśmy, a to na Koński Targ. A gdyśmy się dowiedzieli o tem, że księżę Gagaryn zginął, tak zaraz jak najspieszniej zaczęliśmy lecieć ku Świętemu Krzyżowi, a gdyśmy się zbliżyli na dobry wystrzał karabinowy, Moskale dali wystrzał do nas i zgubili nam kilku ludzi, ale my jak im raz i drugi odpowiedzieliśmy, jak krzyknęliśmy ura, nadstawiliśmy bagnety, tak zaraz Moskale zaczęli krzyczeć pardon i swoją broń na ziemię porzucili; a my, kazawszy im pałasze i patrontasze zdjąć z siebie i na kupę położyć, gdy to zrobiono, kazaliśmy im na kroków dziesięć ustąpić, a potem hurmem zabraliśmy pałasze, patrontasze i broń, a Moskali za karki wzięliśmy do niewoli, także dziesięć sztuk armat i konnicy pięćdziesiąt, i wiele powózek i amunicyi, która nam się bardzo zdała. Potem pułkownik Hauman, dostawszy od nas z tyłu sukurs, uderzył na Moskali pod Trzema Krzyżami; i z przodu i z tyłu szczęśliwie pobiliśmy, a resztę do niewoli zabraliśmy; więc znowu wzięliśmy armat sztuk

¹⁾ Różnicę.

jedenastcie, wiele prochu i broni, i tak szczęśliwie pomaszcerowaliśmy o godzinie dziewiątej przed Zamek królewski.

Gdyśmy stanęli przed Zamkiem, radość się wielką zrobiła, lud okrutnie wiwaty wykrzykiwał, a ja zaraz posłałem delegację do Zakrzewskiego, dawnego naszego prezydenta Konstytucji Trzeciego Maja, prosząc go w imieniu wszystkich obywateli, aby stanął w Zamku; a gdy delegowani ode mnie powrócili wraz z nim, tak ja zaraz mówiłem do niego te słowa: „Szanowny obywatelu, prezydencie miasta stołecznego Warszawy! Oto przyszedł czas ten, że cię szukają obywatele ci, którzy z pośród grona swojego ciebie, szanowny mężu, obrali, a że przemoc prawa i ciebie nam razem wydarła i nas rozsypała, więc szukając pory do podniesienia tego tak świętego prawa, znaleźliśmy ją tak, jak ją sam w dniu dzisiejszym oglądasz; to jest prawda, iż szukając tej świętej konstytucji, krwią ją naszą odkupywać musimy; a że już cokolwiek nad nieprzyjacielem przemocy wzięliśmy, więc oddajemy ci, szanowny prezydencie, tę świętą konstytucję w ręce twoje i oddajemy ci ster rządu nad wszystkimi obywatelami. Ty radź o nas, aby wszystkim było dobrze, a my, trzymając oręż w ręku, pójdziemy rozszerzać granice te, które nam przemoc ludzka z rąk naszych niesprawiedliwie wydarła. Sprowadziliśmy ciebie, szanowny mężu, do Zamku, abyśmy ci, w obecności króla naszego i w jego oczach, nad ludem oddali władzę. Ty się staraj o polepszenie bytu naszego, a my ci wszyscy wierni będziemy. Niech żyje prezydent i święta Konstytucja nasza!”

Potem prezydent udał się na ratusz i tam począł wybierać członków do Rady Najwyższej Narodowej; a ja udałem się z ludem na dziedziniec pałacu Tepperowskiego ¹⁾,

¹⁾ Piotr Tepper, słynny bankier za Stanisława Augusta; pałac jego znajdował się przy ulicy Miodowej.

aby stamtąd można było wypędzić Moskali, którzy się tam do ogrodu i klasztoru kapucyńskiego wpakowali, a których inaczej wypędzić nie było można, jak tamtędy. A że tam był parkan bardzo wysoki i murowany, więc tam rozkazałem w parkanie dziury kuć i armaty zakładać, aby stamtąd Moskale dobyć można było. Ale zasadziwszy dwie, gdy dali z nich kartaczami ognia razy kilka, Moskale się zreiterowali do samego klasztoru, a my wpadli do ogrodu. Lecz tam dano nam się we znaki, gdyż nas tam do dwóchset wybili, a mianowicie przy wschodach, idąc na pierwsze piętro. Moskale tam stanęli nad wschodami, to do nas tak jak do bekasów rznęli. Ale gdyśmy armatę trzyfuntową zaprowadzili i zaczęliśmy kartaczami ich traktować, tak moi Moskale zaczęli krzyżeć pardon ¹⁾, ale go nie dostali, gdyż naszych więcej jak dwustu zabili; ale też jak się nasi dobyli na pierwsze piętro, tak co do jednego wykłuli. Moskale trupów z trumien powyrzucali, a sami się w nie pokładli, ale nasi i tam ich znaleźli i żadnemu życia nie darowali; a Kapucynów leżących krzyżem znajdowaliśmy, boć oni niebożątka we dwóch ogniach i strachach byli.

Gdy stamtąd wyszliśmy, rozmyślałem udać się do domu mojego, chcąc się cokolwiek pożywić, gdyż już i brzucha swego nie czułem, i już byłem bardzo osłabiony; raz przez niewyspanie, bom już był dwie nocy nie spał, a drugie to, że już byłem niesumiennie głodny, i pod podeszwami pęcherze mi się porobiły, i dlatego chciałem pójść do domu. Ale prezydent z ratusza kazał mnie obywatelom szukać, a gdy mnie na drodze idącego znaleźli, tak zaraz mnie na ręce swe porwali i na ratusz zanieśli, co mnie najbardziej gniewało, że tak straszne krzyczeli wiwaty, a ja biedny jeszcze nie jadł, a ci mnie wiwatem karmili. A gdy stanąłem na ratuszu, tak zaraz od prezydenta i człon-

¹⁾ Poddawać się.

ków Rady nowoobranej byłem serdecznie witany, a potem *unanimitate*¹⁾ wszyscy jednomyślnie krzyknęli do prezydenta, abym był obrany członkiem Rady. Prezydent natchmiast mnie napisał, ale ja go prosiłem o głos; prezydent i Rada pozwolili mi, i zabrałem do nich głos, który miałem w ten sposób.

Prześwietna Rado narodowa nowowybrana i prześwietni szlachetni obywatele miasta Warszawy!

„O, jak się wiele zastanowić muszę, że mnie jednego symplaczka²⁾ wzywacie na członka Rady. Ja nie jestem godzien, abym to miejsce, będąc prostaczkiem, posiadał, gdy tu trzeba ludzi światłych, języki posiadających, pełnych roztropności, aby się w każdym momencie na każdą odpowiedź znaleźć mogli. Ach, kochani i szanowni obywatele! możeż to być, abym ja tak próżno to miejsce prawie święte zawadzać mógł? a jakżebym wam w czasie sprawę z urzędowania mojego zdał, nie znając się na niczem, nie znając prawa, nad którembym próżno siedział? Że wszakże każdy z nas powinien osądzić sam siebie, do czego jest zdatnym, a ja w sobie nie widzę żadnej zdatności, więc składam nieskończoną wdzięczność za życzenia wasze, i tego się nie podejmuję, do czego się zdatnym być nie czuję. Ofiaruję wam moje usługi na zawsze, ale w tem, do czego zdatnym będę, a nie do tego, czego nie znam“.

A gdy tę mowę moją skończyłem, tak zaraz krzyknęli wszyscy obywatele: „Niemasz zgody! Prosimy cię, obywatelu, abyś miejsce swoje zasiadł, które ci za pracę twoją zgotowane zostało. Ekskuza³⁾ twoja jest u nas daremną; mówisz to do nas, żeś jest symplak i języków nie posiadasz, a jednak tak wielką rzecz wzięłeś na siebie, czegoby żaden edukowany tak dobrze nie skierował, jak ty, więc

1) Jednomyślnie. 2) Prostaka. 3) Tiomaczenie się.

nie jest ekskuza twoja przed nami przyjęta; a błąd jaki, gdybyś nam popełnił, to ci go wszyscy wspólnie przebaczymy“. Więc ja rad nierad musiałem ono miejsce zająć, które bardzo niemile przyjąć musiałem.

Z tem wszystkiem jednak ja bardzo myślałem o tem, jakby resztę Moskali wyplenić można było; gdyż nam w kilku miejscach dobrych zamknęli się, które dla nich bardzo dobrymi warunkami być mogły, jak oto: w Igelströma pałacu, w Gdańskim ogrodzie, u Bazylianów, u Kapucynów, w Krasińskich ogrodzie, w tymże pałacu, dziedzińcu, teatrze, w pałacu Chreptowicza, w kadeckich koszarach, na Lesznie, w pałacu pani Mińskiej za Bernardynkami, w łaźni Kurca. Więc w dzień czwartkowy dostać ich nie mogliśmy, aleśmy ich ze wszystkich stron dobrze otoczyli, ponieważ też zbliżał się wieczór.

...Gdy dzień się począł robić, rozkazałem obywatelom czterystu wystąpić do boju, a sam poszedłem zameldować królowi, iż mu stu ludzi zostawiam na jego zabezpieczenie, a że czterystu biorę na obronę. Król, widząc mnie przed oczyma, począł mówić do mnie; ale ja odpowiedziałem, że nie mam czasu napróżno go tracić, ale muszę pójść dopełnić mego interesu, do którego obowiązany zostałem; a zrobiwszy lewo w tył, poszedłem od króla i zaraz zakomenderowałem na Podwale, na dobyte Igelströma. Ale się mocno bronili Moskale, częstokroć swoje dwie armaty wypychali i ludowi szkodzili, a najbardziej przez swoje otrąbywanie się, prosząc o kapitulację.¹⁾ Że on chciał z królem kapitulować, a my tego nie chcieli, lecz aby z Radą kapitulował, on nie chciał, więc przez to uwodzenie po razy trzy Moskale nam najmniej stu ludzi zgubili. Alem ja uważał, że to było na zdradę naszą, ponieważ Igelström uprosił się generałowi Mokronoskiemu i prezyden-

1) Poddanie się.

towi Zakrzewskiemu, którzy go pomiędzy lud nieznamy wprowadzili i dali mu uciec¹⁾; o czym my tutaj dowiedzieć się nie mogliśmy, a ja się o tem aż w Rydze dowiedziałem. Ale nie wiedząc, jakby Igelströma prędzej dobyć, kazaliśmy go zapalić; więc porucznik Czapski przyniósł dwa granatniki ręczne, a puściwszy one z ręki swej, zapalił pałac. Jednak Moskale nie uciekli, choć się nad nimi paliło; ale ja, nie mając już więcej cierpliwości, kazałem przynieść siekier kilkanaście i kazałem rozdać parobkom, aby bramy do tego pałacu wycięli, i tak się też stało; kazałem się pod samym murem suwać, a to dlatego, aby Moskalom było ciężko zabić, i tak szczęśliwie i zrećnie tam podeszli, że w kilka minut bramy obydwie wywalili, które były już drzewem zawałone, ale jedni drzewo uprzętałi, a drudzy im przez głowy strzelali; a Moskale do piwnic się pochowali; a my, skoro tylko drzewo cokolwiek uprzętałi, tak zaraz ura krzyknięto, i na dziedzińce obydwaj wpadliśmy, i tam zaraz złożono sztuk czterysta broni ręcznej i tyłuż Moskali zabraliśmy do niewoli, których zaprowadzono do szkół pijarskich, a samych oficerów wzięliśmy osób sześćdziesiąt.

Także odbiliśmy Stasia Potockiego¹⁾ i naszych przy nim oficerów pięciu i przy nich kapitana Daszkowa. Stasia Potockiego i przy nim tam będących kazałem na rękach zanieść ludowi naszemu, jako dobrych i cnotliwych patriotów. Przytem wzięliśmy armat ośm i bardzo wiele kul i prochu, gdyż tam w piwnicach robili sobie ładunki. Także rozsiekali tam na dziedzińcu żołnierza moskiewskiego, który przy złożeniu broni wypalił do hajduka królewskiego i zabił go; za to go lud w drobne kawałki rozsiekął i jego ciało po dziedzińcu rozrzucono. A wtem będąc bardzo

¹⁾ Oskarżenie powyższe nie jest słuszne. ²⁾ Stanisław Kostka Potocki, generał artylerji koronnej.

rozhukani, wpadli zaraz na pierwsze piętro, i tam zastali kredens srebrny upakowany; do szczętu wszystko zabrali, a tak wypróżnili wszystkie kąty, że i najmniejszej rzeczy nie zostało. Ale plądrując tam po wszystkich pokojach, znaleźli jednego oficera skrytego, którego pospólstwo wzięwszy, chciało zabić, ale ja wtenczas nadszedłem i nie dałem go zabić, alem go wziął do niewoli, prowadząc go z sobą; za co ten oficer, wywdzięczając się za darowanie mu życia, rzekł do mnie te słowa: „*Postojcie, ja wam skazę, kuda same dieńgi*“.¹⁾ A ja kazałem go wrócić i on nam pokazał, gdzie była kasa Igelströma, a że były drzwi żelazne, więc kazałem przynieść siekier i drzwi one wybić; aż tam było beczek sześć samych talarów holenderskich, siedm beczek rubli srebrem i sześć baryłek złota, które ja zaraz kazałem zabrać na ratusz. Ale że mnie lud bardzo prosił, aby mu też dać korzystać z tego łupu, więc ja kazałem we dwóch beczkach po kawale dna wybić, i jedną beczkę kazałem wytoczyć z talarami na ulicę Miodową, a drugą na Podwałę, i też beczki kazałem tacać, aby się wszystkim dostało; lecz bardzo tego żałuję, ponieważ przez łakomstwo kilku się ludzi zabiło. A ja kazałem siedm beczek rubli i cztery beczki talarów i sześć baryłek złota zanieść na ratusz, w czym bardzo wielką przysługę zrobiłem, gdyż wojska nasze płacem nie były, a kasy nasze polskie tak mocno wyniszczone były, że w nich tylko było sześć tysięcy złotych. Takowe to pieniądze z kas naszych były częścią przez Moskali zabrane, a częścią też przez samego króla, a częścią też przez panów ministrów i innych panów, bo gdyśmy byli od Rady delegowani do obliczenia kasyera Biernackiego, to nam okazał tylko sześć tysięcy złotych; więc o czemże tu było z nieprzyjacielem wojnę prowadzić?

¹⁾ „Poczekajcie, pokażę wam, gdzie są pieniądze“.

Dnia tegoż piątkowego zdobyli nasi, jak cywilni tak wojskowi, pałac, ogród i teatr Krasińskiego, gdzie się Moskale byli zatarasowali; także i żydowskie i od Bazylianów to prawie sami obywatele zdobyli, ponieważ żołnierze bardziej ubiegali za zdobyczą, jak za zwycięstwem; i już przyszło do tego nieposłuszeństwa, że żołnierze swoich oficerów nie bardzo słuchać chcieli; a nam najwięcej o to chodziło, aby jak najprędzej Moskale uprzątnąć, gdyż gromadkami ludzi zabijali, a nawet żaden obywatel nie był pewnym, ponieważ Moskale ognie podkładali i granaty z rąk swoich na domy wypuszczali, w czym żaden życia swego nie był pewnym. Ale dzięki Bogu, o godzinie siódmej wieczór dobyli z Leszna, z kadeckich koszar i z za Bernardynków, i tak szczęśliwie ukończyliśmy tu w Warszawie.

Lecz Praga jeszcze nie była ukończona; ponieważ most był rozwiedziony i sukursu dać nie można było, tak zrzęcznie nam szkodzili, to prawda jest, że postawiwszy armaty trzy na tarasie, dopiero ich używali; ale jednak wkrótce zabrakło im ładunków, więc dopiero Moskale trzepali i resztę ich do niewoli wzięli. Potem komisarz mostu rozkazał łyżwy sprowadzić i most uregulować; więc Prażanie przyprowadzili swoich jeńców Moskale na Kościuszki dziedziniec; a tam żołnierz moskiewski, wydarłszy jednemu Prażaninowi pałasz, uderzył go w głowę i zabił go; wtem Prażanie, widząc tak zuchwałych jeńców, zaraz wszyscy porwawszy się do pałaszów, za jednego wszystkich rozsiekali. Ten smutny widok bardzo przejął serca ludzkie, bośmy długo w sercach naszych nie byli spokojni; co widząc, nasze żony bardzo płakały. Ale nie koniec na tem; gdyż znowu tegoż samego dnia, to jest w niedzielę, przysłali raport z arsenału, iż tam jest bardzo niebezpiecznie; że bardzo było wiele jeńców moskiewskich, którzy, siedząc tam, nie po cichu, ale głośno gadali, iż się wybiją i Polaków wyrzną; więc dlatego Rada tych ichmościów kazała

przeprowadzić na Miodową ulicę, do Borchy pałacu. A wtem rozkazał prezydent, aby połowa z obywateli, a połowa z wojskowych na przeprowadzenie komenderowanych było; a gdy tamże pod arsenałem stanęli dwoma rzędami i poczęli Moskale stamtąd wyprowadzać, gdzie czterystu ich wyprowadzili, i przyszli z nimi na Miodową ulicę, wtem dwóch Moskale, wyrwawszy jednemu pałasz, a drugiemu z za pasa pistolet, krzyknęli na drugich żołnierzy, aby każdy z nich brał się do obrony; ci dwaj żołnierze, jeden Polaka przestrzelił, a drugi kilku rąbnął; a widząc to, że się wszyscy porywają, zaraz ich wszystkich rozsiekano. Ten wypadek tak nas mocno zraził, żeśmy już żadnemu Moskalowi wierzyć nie chcieli, ponieważ wszyscy okrutnie zuchwali byli; w czym później doszliśmy, że tych samych żołnierzy buntowali od panów dworzanie, jak się to tu niżej pokaże.

Nie mogę ja tu zapomnieć tego, co żądał od nas król pruski; gdyż przysłał do nas swego kuryera, zapytując się Rady o to, czyli rewolucya jest razem z królem, czyli bez króla. Rada narodowa sama jeszcze nie wiedziała dobrze o tem, czyli król jest z narodem, czyli też przeciwko narodowi; więc chcąc się Rada przekonać przy tej okazji, przeznaczyła nas za deputowanych osób cztery, to jest: pana pośta Dzieduszyckiego, pana Mostowskiego, pana Wulfersa i mnie, Kilińskiego, z zapytaniem się króla, co on w tej mierze odpowie. Rada to tylko nam przykazała, abyśmy go w ręce nie całowali; po drugie, abyśmy się z nim w dyskursa¹⁾ nie wdawali. Odebrawszy taki rozkaz, poszliśmy do króla i tam stanąwszy, kazaliśmy się przez szambelana zameldować. Król zaraz kazał nas do siebie wpuścić, a stanąwszy przed nim, najpierwej pytał się nas po jednemu, jak się który z nas nazywa? a gdyśmy mu powiedzieli, tak zaraz pytał się nas, czego od niego potrzebujemy?

¹⁾ Rozprawy, rozmowy.

Odpowiedzieliśmy mu te słowa: „Najjaśniejszy panie! Rada najwyższa narodowa przysłała swe członki do waszej królewskiej mości z zapytaniem, czy wasza królewska mość jesteś z nami, czyli przeciwko nam?“ Król nam odpowiedział: „Jestem z wami“.—„A zatem prosimy waszą królewską mość dać nam to na piśmie, abyśmy wiedzieli, jak mamy odpowiedzieć królowi jegomości pruskiemu, który uczynił do nas swe zapytanie: czyli król jest z nami, czyli my przeciw królowi jesteście?“ Król odpowiedział te słowa: „Czyliż już król pruski nos swój do nas wtyka? i jeszcze mu się Warszawy chce? Kiedy on się naszą pracą nasyci? O, biedaż to jest łakomcy; kiedy kto łakomo je, to czasem nadto rzyga; tak i jemu będzie“. Pan poseł Dzieduszycki odezwał się do króla: „Najjaśniejszy panie! Mówisz wasza królewska mość te słowa, że jesteś z nami, lecz my tego nie widzimy; bo co tylko jest, to wszystko pracuje z nami i łączy się z nami; my powinniśmy dla ojczyzny wspólnie wszystkie trudy ponosić, lecz wasza królewska mość na to zasypiasz spokojnie i okiem obojętnem na to patrzysz. Królu! czas jest szczerze być z nami, bo nad czemże panować będziesz, gdy ci kraj rozbiórą? Wasza królewska mość śpisz, potrzeba jest wziąć się szczerze za rękę i kwią odkupić ziemię naszą, bo do rządzenia jesteście, lecz do obrony nas niema“. Król na to odpowiedział: „Dobrze mówisz, mój kochany, lecz dla mnie niemasz pory“. My, widząc to, iż król nie myśli być z nami, więc prosiliśmy, by nam dał na piśmie. I dał nam odpowiedź taką: „Donoszę waszej królewskiej mości, że jestem z narodem moim“ i podpisał: *Poniatowski*.

A my, odebrawszy takowe pismo, powróciliśmy do Rady; a Rada zaraz dała odpowiedź swoją przez tegoż kuryera, który gdy od nas odjechał, tak zaraz wojska pruskie podstały nam pod same gwardyackie koszary. Gdy nam o tem doniesiono, tak zaraz Rada z miejsca swego

mnie komenderowała, abym tego odparcia Prusaków dopełnił; a ja, wyszedłszy z ratusza, kazałem mały alarm robić, a to dlatego, że już późno w noc było, gdzie się już obywatele do domów rozeszli; ale usłyszawszy alarm, zaraz wszyscy pod broń wystąpili. Gdy już obywatele wszyscy przytomni byli, ja zaraz rozdysponowałem, aby jedna część poszła do rogatek Powązkowskich, a druga do koszar artylerji, a trzecia do rogatek Marymonckich, a ja wprost do koszar gwardji koronnej, aby Prusaków można było wziąć we trzy ognie. A że bardzo ciemno było, musieliśmy czekać, aż dzień się zrobi, abyśmy mogli obaczyć, jakie są siły Prusaków. Więc my porobili na nich zasadzki; a gdyśmy już ich dobrze rekognoskowali¹⁾, tak zaraz obces uderzyliśmy na nich, i tak się nam szczęśliwie udało, że Prusacy wpadli we dwa ognie; konnica wpadła na nasze armaty, a jegry wpadli na nas samych obywateli, gdzieśmy na placu mieli 1,800 zabitych i 113 było rannych, a reszta uciekła. Więc to takie przywitanie mieli od nas Prusacy; a nie widząc tam żadnego niebezpieczeństwa, zatrzymaliśmy broń, patrontasze i pałasze, a sami o godzinie dwunastej rano powróciliśmy do Warszawy i Radzie raport z czynności zdałem. Przynieśliśmy także kilka panczerzy od głowy do pasa, które były z grubej blachy angielskiej zrobione.

.....

Nie rozumiem jak tu pióro ściągnąć na pochwałę wszystkim oficerom naszym, w których prawdziwie sama cnota, sam tylko patriotyzm serca ich powodował, albowiem doszli oni jednostajnie do chwały rycerstwa; a to mówię o oficerach, którzy nie mieli przed oczyma swemi jednego tylko Boga i męstwo, którzy nie lękali się wielości nie-

¹⁾ Wyśledzili.

przyjaciela, tylko pytali się, gdzie są nasi nieprzyjaciele? O, ojczyzno nasz! Jakże się możemy chlubić tobą, że nam wydajesz z łona twego walecznych rycerzy, którzy nie tylko na swojej ziemi stali się męczennikami, ale też może ich pochwalić prawie trzy części Europy! Możeżli wam kto zarzucić, żeście szli za łupem nieprzyjaciela?—pewno nie. Oto ja winszuję wam tej tak zbawiennej chwały, którejście doszli, i chlubne imiona wasze w potomne wieki w księdze zapisane będą; oto ja, Kiliński, współpracownik wasz i naoczny świadek czynności waszej, daję wam to chlubne zawierzenie, przysięgą je moją stwierdzić mogę, jako oczami swojemi też waszą gorliwość i pracę waszą widziałem, i gdyby to było w możności mojej, otobym wystawił kolos z imionami i nazwiskami waszemi i przyozdobiłbym złotemi literami i dałbym wam ozdobny laur chwały wiecznej. Do was to mówię, mężni oficerowie z gwardyi koronnej, wielmożni dwaj bracia Milfortowie, Deręgowski, Gąsiorowski, Ostaszewski i inni, których tu imion nie kładę, bo ich nie pamiętam; ciż to są u mnie nazwani waleczni mężowie z niższego sztabu oficerów. Nie daję ja żadnej pochwały pierwszego sztabu oficerom gwardyi, z którymi potrzeba było pierwszą potyczkę odbyć jak z nieprzyjacielem; jakim się okazał pan pułkownik Brodowski, który do boju wystąpić nie chciał, ani też sztandarów wziąć nie pozwolił; ten to podły próżniak, który nam przez kilkanaście lat darmo pensye pożerał. Nie dosyć na tem, miał on jeszcze więcej kolegów swoich, którzy tylko próżno miejsce cnotliwym zawalali, którym warto było z tym panem Brodowskim dać nagrodę na szubienicy, którzy, służąc Polsce, sztydzili z Polaków; dlatego tu daję jak największe pochwały tym, którzy je sobie zasłużyli, a hańbie zostawiam tych, którzy ich nie warci.

A teraz obracam się do was, mężni i nieustraszeni oficerowie od artyleryi, wielmożni majorowie Piaścińscy,

Górcy dwaj bracia, kapitanie Roppie, poruczniku Laskowski, poruczniku Dzierzbicki i inni, których nazwisk nie pamiętam. Także pułku Działyńskiego: wielmożny pułkownik Haumanie, majorze Zajdlie, kapitanie Mycielski, zgoła wszyscy wyżsi i niżsi sztaboficerowie, których wieczna pamiątka trwać będzie po was. A teraz do ciebie się obracam, wielmożny pułkowniku Zieliński, kawalerze hułanów, tyś to był u mnie jedyny, któregom ja o godzinie dwunastej w nocy przed samem powstaniem namówił, tyś to był ostatni do namowy, lecz pierwszy do boju, z całym pułkiem swoim, i przed tobą wszystko legło lub pierchnąć musiało; oddaję ci wieczną sławę. Także do ciebie, prześwietny sztabie kawaleryi Mirowskiej gwardyi; wam to oddać potrzeba największą sprawiedliwość: wielmożny majorze Kosmowski, poruczniku Strzałkowski, i wam wszystkim oficerom natenczas będącym, za wasze popisanie się przed bramą Żelazną; najpierwsze jest wasze rozpoczęcie rewolucyi, gdyż wszyscy ci wojskowi za waszym przykładem poszli. I do was także obracam mowę, wspaniali inżynierowie, a osobliwie wielmożny pułkowniku Bogucki i poruczniku Kubicki, za wasze nieustraszone męstwo i cierpliwość waszą na Pradze. Więc wspólnie wy doszliście chwały i pamiątki wiecznej; dlatego też, w imieniu wszystkich obywateli, wam wszystkim oficerom wieczny zaszczyt i sławę przyznaję, a za pracę waszą niech wam zapłaci ten Pan, który okręgiem całego świata kieruje!

Jeśli oddałem sprawiedliwość wszystkim wojskowym, także jestem zmuszony również oddać sprawiedliwość obywatelom miasta stołecznego Warszawy, którzy, widząc oczywisty upadek ojczyzny naszej, zmuszeni byli wziąć się do oręża, abyśmy nie weszli w taką reputacyę, jak byli Żydzi w Jerozolimie przy rozbiorze kraju swego; dlatego daliśmy z siebie przykład, jak być mężnym, aby dawać odpór najezdnikom ziemi naszej, na których my próżno pracować

musieli, a za naszą pracę moskiewskie odbieraliśmy nadgrody. Więc przeto daliśmy się poznać królowi, jak on ma mężnie poczynać w królestwie swoim, bo prawdziwie powiem, że nam w pochwach żelazo zardzewiało i dlatego też nasi sąsiedzi, widząc naszą opieszałość, wzięli nas za łeb. Przy pierwszym rozbiórce kraju naszego król wcale nic nie mówił, przy drugim toż samo...

Otóż takiego króla mężnego mieliśmy, przy którym upaść musieliśmy, choć szczerze obywatele dawali poznać się królowi w czasie Konstytucyi 3 maja, jak nam jest wojna potrzebna; gdyż nam już wstyd było, i wszędzie nas za granicą kpali, iż gnuśni jesteśmy. Więc dlatego podnieśliśmy rewolucyę, którą my, obywatele, więcej, jak wojskowi, robiliśmy, pokazując to, że możemy dać odpór nieprzyjaciółom naszym, i czyliż nam kto zgani nasze powstanie? Wszakże w Paryżu była rewolucya, lecz wcale nie taka. Myśmy tu nikogo niewinnego nie zgubili, król nasz był żywy, a choć nas Francuzi namawiali na jego zgubę, tegośmy nie uczynili i święcie jemu przysięgę wierności dotrzyмали, bo jeśli podnieśliśmy oręż, tośmy go podnieśli na odbicie krajów naszych, i dlatego też w całej Europie nie ma nam nikt za złe i nawet mieć nie może. W Paryżu dlatego była tyrania, aby słabi wydarli majątki mocniejszym, czyli bogatszym, a my komużeśmy je wydarli? Otośmy własne nasze majątki potracili, chcąc dać tym pomoc, którzy nami rządzić nie umieli. Obywatele Warszawy zawsze byli wspólni i mężni, na krzywdę ludzką nie łakomi, dlatego im oddaję największy szacunek, osobliwie panu Józefowi Sierakowskiemu¹⁾, który równie ze mną dokładał swego starania o polepszenie bytu ojczyźnie naszej.

.....

¹⁾ Józef Sierakowski, rzeźnik warszawski, towarzysz Kilińskiego w powstaniu 1794 r.

POWSTANIE W WARSZAWIE

(Z „INSUREKCYI“ WL. ST. REYMONTA).

DZIEŃ 17 KWIETNIA 1794 r.

..... Wstawał dzień, modrawe świty rozlewały się w ulicach, że domy dawały się widzieć jakby zanurzone w przemglonych wodach. Rosy obficie ściekały z dachów. Nad połacią domów od strony Wisły niebo poczynało się rumienić, powiało jakieś tchnienie niepojętej lubości, zaświergotały pierwsze jaskółki, okna wysokich pięter zagrały różaną farbą bladych zórz...

Daleki grzmot strzału armatniego rozdarł ciszę i pomnażał się echami.

...Zadzwonił dzwon od Fary; bił w jedną stronę, ponuro, mocno, gorączkowo, na trwozę, a za nim wnet zahuczał drugi, potem trzeci, czwarty, dziesiąty i po chwili dzwoniły już ze wszystkich stron i ze wszystkich kościołów jednym ogromnym, jak świat, niebosiężnym głosem, jakoby stado orłów, lecących nad miastem, zaśpiewało śpizową pieśń na bój, na śmierć, na zwycięstwo!

Miasto zerwało się ze snu. Powiało ognisty dech wojny. Zbrojny lud wysypywał się z domów, zaturkotały wytaczane

armaty, rozlegał się miarowy tupot maszerujących oddziałów, leciały twarde słowa komend, w mrokach ulic zaczerwieniły się bojowe sztandary, na wszystkich posterunkach zaczęły bić tarabany i suchy, nieprzerwany, bojowy grochot brzmiał, niby nadciągająca burza.

I naraz ze wszystkich piersi buchnął straszliwy, wstrząsający krzyk:

— Do broni, obywatele! Do broni! Do broni.

.....

Generał Cichocki¹⁾, zawieszony na wyniosłej baszcie arsenału, toczył orlemi oczami po mieście, wynurzającym się z ciemności. Czuwał już tam od samej północy. Wyglądał świtania. Niekiedy zbiegał na baterię, przemyczał się wskroś dziedzińców, zapchanych zbrojnym ludem, wskroś mrocznych kazamat pełnych żołnierstwa, wзираł strzelnicami, stawał na szanckach od strony Nalewek i w głębokim skupieniu nasłuchiwał głuchego milczenia nocy, jakoby oddech śpiącego huraganu brał w siebie.

Straże stały na swoich miejscach nieporuszone, jak posągi, trzeszczały płonące lonty, szmery westchnień stawały się podobne szmerom opadającej rosy. Noc była jeszcze. Wraz z pierwszemi zorzami dźwięki jakiejś godziny zahuczały w cichości, niby gromowe uderzenia młotów. Dreszcz wstrząsnął ludźmi, załomotały serca. Nadchodziła pora.

Jakiś strzał armatni rozdarł ciszę i lunęły ostre karabinowe salwy.

— Kapitan Kosmowski uderza na Żelazną Bramę! Kanonierzy, na miejsca!

Dzwony jęły podnosić niebosiężne larum: biły od Za-

¹⁾ Generał Jan August Cichocki, komendant Warszawy, był jednym z najwybitniejszych kierowników powstania w stolicy.

kroczymskiej, biły od Freta, biły od Starego Miasta, biły z Krakowskiego, biły z Leszna. Rozdzwoniło się wszystko powietrze. Śpiżowy krzyk spadał w uśpione i mroczne ulice, jak pioruny mury wstrząsające. Powiała groza. Wybuchwały jakieś zgiełkiwie, przerażone głosy. Śmierć zdała się łomotać do wszystkich domów. Bito gwałtownie w bębny. Ponure głosy trąb huczały ze wszystkich stron. Zadudniała ziemia, całe gromady spieszyły ze wszystkich sił do arsenału.

Na Długiej dał się słyszeć tętent konnicy, wrzaski i gęsta, bezładna strzelanina. Jeszcze chwila, i od strony Miodowej zamajaczyła chmura koni, ludzkich głów i rozwianych proporców. Pędzili, jak nawałnica, całą szerokością ulicy, aż grały koniom śledziony.

— Pierwsze i trzecie działo: Cell! Pall Nabijaj! — rozległa się spokojnie komenda.

Zatrzęsły się mury. Szwadron kawalerii narodowej dopadł nad fosy arsenału; ciężkie kule armat osłoniły go przed chmarami napastliwego kozactwa. Wraz też zagrały bębny, i z pod murów wystąpiły piechoty, prażąc rześistym ogniem nieprzyjaciela. Pierchnął i rozwiął się, jak dym, znacząc jeno drogę trupami ludzi i koni.

Arsenał przybrał bojową postawę. W jakimś modlitewnym skupieniu kanonierzy zajęli swoje miejsca na bateriach; zadymiły rozpalone lonty. Odstronietymi strzelnicami wyrzało tysiące luf. Piechoty stanęły pod bronią. W dziedzińcach wszystko czekało tylko sygnału: armaty w zaprzęgach, konnowody na koniach, jaszczce w cugach.

Na basztach wywieszono bojowe znamiona, jakoby archanioł wojny powiał krwawymi płachtami. Przywitał je powszechny okrzyk, bębny i sprezentowana broń.

Z miasta dochodziły coraz gęstsze odgłosy strzałów, bicia dzwonów i grochotania bębnow.

— Do broni! Do broni! — wzmagął się krzyk ogromny,

jakby domy domom, ulice ulicom i ziemia niebu podawały ten święty nakaz głosem huraganu, grzmotami gromów.

— Giesler z pontonierami¹⁾ nadciąga ogrodem. Moskali ma na piętach — meldowano Cichockiemu.

Jakoś w modrawem powietrzu zaczerniała zwarta kolumna. Dwieście pięćdziesiąt chłopów maszerowało podwójnym krokiem, rwali z karabinami w garściach, gotowi do kontrataku. Pułkownik Giesler prowadził, na flankach tarabany były pobudkę.

Od dziedzińca Krasieńskich sypały się za nimi moskiewskie salwy.

— Półbateria! Cell Pal! Nabijaj!

Właśnie dopadali wywartej bramy, gdy okrył ich grzmot i płaszcze dymów. Armaty powstrzymywały moskiewskie piechoty.

Cichocki, uradowany pomnożeniem obrońców, rozkazał dać im wypoczynek, ciągnęli bowiem z Pragi, a sam poleciał na front arsenału, do niskich okien, pod którymi kłębiły się już całe tłumy; skoczył na parapet i zakrzyczał:

— Do broni! Do broni, obywatele! — i jął wyrzucać bojowe ryszunki.

W drugim oknie czynił toż samo pułkownik Dobrski, w trzecim Chomentowski.

Tłum zawrzał okrzykami, a tysiące wyciągniętych drapieźnie rąk chwyciło w powietrzu lecące karabiny, szablę, torby nabojów, piki, kosy i siekiery na długich rękojeściach.

— Komendant wolonterów²⁾, sam tu! — zawołał generał.

Wystąpił Krieger, starszy z konfraternii kupieckiej³⁾, młodzian ognisty, wyniosły, jastrzębiowi z twarzy podobien. Sylwetkę Kościuszki miał przypiętą do kapelusza, gołą szablę w garści, przepasany przez pierś czerwonym bando-

letem¹⁾, na którym bieleł się napis: „Równość, wolność, braterstwo“. Zasalutował przed Cichockim.

— Uważaj, coć rzeknę: wojska do walk frontowych, a zbrojny lud ma uderzać na tyły i boki. Nękać wroga w sposób, jaki następczą okoliczności, oto pryncypalne zadanie wolonterów! Ruszajcie z Bogiem! Zwycięstwo albo śmierć!

— Zwycięstwo albo śmierć! — odrzyknęło tysiące i potrząsając bronią, ruszyło na Bielańską.

Na Lesznie zagrały armaty, trąbki, karabinowe salwy i dzika wrzawa walki buchnęła w niebo, a po chwili z rogu Przejazdu ryknęły moskiewskie ciężkie działa i grad kul posypał się na mury, drąc tynki, łupiąc gzymsy i futrowania okien. Dymy i kurz przysłoniły ulice, zaś pod tą osłoną gęsta kolumna piechoty występowała do szturm.

Tego właśnie czekał Cichocki, bo gdy zbliżyli się na jakieś dwieście kroków, plunął im w twarze kartaczami. Straszliwy krzyk wstrząsnął powietrzem. Ale batalion moskiewski wziął krok podwójny i z nastawionym bagnetem leciał naprzód.

Arsenał zaśpiewał szaloną pieśń ognia i żelaza. Zadymił, jak wulkan.

Przy biciu bębnow z rozwiniętymi sztandarami Chomentowski wypadł z piechotą.

— Hura! Hura! — wrzasnęły moskiewskie rotty.

— Wolność i Kościuszko! — odrzyknęły polskie szeregi. Runęły na bagnety z taką furją, że nieprzyjacielska linia, nie wytrzymawszy uderzenia, podała się w tył, pękła i poszła w rozsypkę. Kawalerya skoczyła za pierzchającymi; ale powstrzymały ją armaty i trąbki z arsenału, wołające na powrót.

Moskale cofnęli się na Leszno i tam ustawicznie

¹⁾ Pontonierzy — żołnierze budujący mosty. ²⁾ Dowódca ochotników. ³⁾ Bractwo, stowarzyszenie kupców.

¹⁾ Bandolet — pas utrzymujący szablę albo ładownicę.

niepokoił ich lud, bowiem wciąż słyszeć się dawały strzelaniny, wrzaski, a niekiedy i huki armatnie.

Arsenał przycichnął, a natychmiast po odparciu szturm generał Mokronoski w otoczeniu paru konnych pojechał na Zamek.

Była to chwila, gdy z pod pierwszych świtań miasto jęło się wynosić jakoby z modrawych odmętów i kiedy na Starem Mieście Kiliński rozbroił miejskie straże i obsadził Ratusz, stanął na czele zbrojnego ludu.

— A teraz capniemy Igelströma! Naprzód, obywatele! Za mną! — krzyknął i błysnąwszy szablą, powiodł swoją kohortę¹⁾ Wązkim Dunajem.

Zaręba z połową marszałkowskich dragonów postępował w aryergardzie.

Maszerowali prędko i sprawnie i z wielkim animuszem, a ledwie wyminęli Piwną, gdy rozległy się za nimi strzały i wrzaski: to Kazanowski z garścią wolonterów dobywał miejskiego domu na rogu Nowomiejskiej, gdzie się zamknęło kilkudziesięciu Moskali.

— Kupą, obywatele! — sprawiał swoje szeregi Kiliński już na Podwalu. — Biegiem! Biegiem!

Paruset wybranego chłopca, zbrojnego w strzelby, kosy i topory, poniesło się jak burza. Spóźnili się, niestety: ulica przed pałacem zapchana już była piechotą i jazdą.

— Naprzód! — ryczał Kiliński — Naprzód! Bij, zabij! Bij, kto w Boga wierzy!

Rzucili się na regularne wojska z nieopisanem męstwem i zajadliwością. Powitał ich gęsty, rotowy ogień; zawahali się nieco, lecz kiedy kozacy ze świstem i krzykiem zaszarżowali, zaczęli się cofać, pozostawiając niemało trupów i rannych.

Zaręba osłaniał odwrot, odcinając się, jak dzik na-

¹⁾ Oddział wojska.

pastliwej psiarni, i doprowadziwszy rozproszonych pod zastonę kamienic Wązkiego Dunaju, tknięty nagle jakimś okropnym przewidywaniem, krzyknął na dragonów i spiąwszy konia ostrogami, pognął niby wichur przez Stare Miasto na Zapiecek. I ledwie był zdążył! Już tam panował niesłychany popłoch, lamenty i ludzie biegali jak opętani, bowiem Piekarską, niby wezbrana groźnie rzeka, płynęła zwarta kolumna moskiewskiej piechoty. Szczęściem maszerowali z wolna, zabawiając się po drodze rabowaniem domów i pastwieniem się nad mieszkańcami. Uderzył na nich ze swoją garścią i nie powstrzymawszy, musiał się cofnąć w Stare Miasto.

Chwila była groźna i decydująca. Zjawił się Kiliński i wnet, co było jeno pod ręką, wozy, beczki, kamienie, stragany i bramy furt, uformowały spiętrzoną barykadę, zamykającą wejście w Rynek, za którą przyczaili się wolonterzy. Zajęto narożne domy i wszystkie okna obsadzono strzelcami. Konopka ze swojemi ultajami obsadził część ulicy Piwnej. Kolumna, dosięgnąwszy Zapiecka, zaczęła się formować do szturm.

Zaręba na czworakach przedostał się do sklepu Kłaczkowej. Kanonierzy spokojnie stali przy ukrytej armacie. Staszek trzymał zapalony lont. Porucznik narychtował działo, nastawił kąt strzału i gdy tarabany zagrzmiały do ataku, a kolumna ruszyła ostrym krokiem, trzasnął w nią kartaczami. Równocześnie z domów i z poza barykady rozpoczęła się rzęsista strzelanina.

Kolumna rzuciła się nieco w bok, niby zwierz ugodzony zniecka.

Ryknął drugi strzał, roznosząc śmierć i zamieszanie. Moskale zaczęli się cofać w porządku, kierując gęsty ogień na domy i barykadę.

Armata zaryczała po raz trzeci, a wraz też z Piwnej uderzył Konopka.

— Bij psu bratów! Bij! Za mną! — wrzasnął Kiliński, rzucając się z wolonterami na Moskali. Ze wszystkich okien posypały się na nich strzały, cegły, ławy, stoły, donice z kwiatami i gary wrzącej wody. Powstała dzika kołtowanina. Lud rzucał się na cofające się szeregi z dra pieżnością wygłodniałych wilków. W ciasnej i mrocznej ulicy straszliwe wrzaski, grzmoty bębnow, huki wystrzałów i brzęki rozbijanych okien przewalały się niby orkan. Topory, bagnety, kosy, piki i drągi migotały ulewą błyskawic i piorunów. Raz po raz wybuchał przerażający ryk mordowanych. Bito się bez pardonu i miłosierdzia. Komu brakło broni, zabijał pięściami i rwał zębami. Nie było zmiłowania. Kto padł, ginął zatratowany, a któren z moskiewskich gemeinów¹⁾ dostał się do niewoli, tego następujące z tyłu kobiety i wyrostkowie rozdzierali żywcem. Z powodu gorałości potyczki, ciasnoty miejsca i zawziętości niepodobna było temu przeszkodzić.

Kiliński walczył na przedzie i tylko słycać było niekiedy jego potężny głos:

— Naprzód! Bij, zabij! Naprzód! Bij!

Właśnie już byli Moskalów zepchnęli na Piekieleko, gdy jakiś konny dopadł Zaręby.

— Major Ropp wzywa p. porucznika. Moskale atakują Nowomiejską Bramę.

Zagrała dragońska trąbka, kiedy z innej strony przyleciał nowy ordynans.

— Porucznik Strzałkowski prosi o armatę!

Zaręba, wydawszy stosowne polecenie Staszce, po pędził z dragonami na Freta.

Zasię armatę wyniesiono ze sklepu Kłaczkowej i po ciągnięto na Zamek, gdzie już wybuchnął popłoch i niesłychane zamieszanie. Strzałkowski bowiem na odgłos

¹⁾ Szeregowców.

pierwszych strzałów i bicia dzwonów zebrał swoją kompanię w dziedzińcu i zagarnawszy plutony gwardyi pieszej, które miały go zluzować, kazał trąbić na wymarsz. Sprawilo to taki skutek, że z królewskich pokojów przyleciało kilka osób z Ryksem¹⁾ na czele.

— W imieniu króla zabraniam wymarszu. Co czynisz, nieszczęśny? — wrzeszczał groźnie.

— Formuj się! Kolumna drożna! Stać! Nabijaj! — komenderował spokojnie porucznik.

Zatrzaskały stęple, nabijano pospiesznie i w dowolnem tempie, jak czasu bitwy. W bramie pod zegarem zbierało się uzbrojone pospólstwo. Od Piekarskiej leciały bitewne wrzawy, granie trąbek, bębnow i strzały. Gdzieś z miasta huczały armaty, a nad głowami coraz potężniej rozlegało się ponure bicie dzwonów. W mrocznych jeszcze dziedzińcach zamkowych zapanowało zamieszanie i trwoga, zwłaszcza gdy warty opuściły swoje stanowiska.

— Panie poruczniku, armata już czeka! — meldował zaziajany Staszek.

— Podnieść chorągiew! Artylerya na czoło! Ile masz nabojów?

— Trzydzieści! — odparł Staszek, stając przy armacie z zapalonym lontem.

— Kolumna, krok podwójny! Marsz! — wydobył szablę. Bębny zawarczały i kolumna ruszyła.

Król w otoczeniu jakichś person²⁾ zjawił się od strony sali sejmowej i zastąpił im drogę.

— Ani kroku! — zakrzyczał. Blady był, rozdygotany, z gołą głową i szpadą w ręku.

— Najjaśniejszy Panie, wzywa nas honor i powinność! — wystąpił śmiało Strzałkowski.

¹⁾ Franciszek Ryks (Ryx), dworzanin i powiernik króla Stanisława Augusta. ²⁾ Osób.

— Wasz honor i obowiązek nakazuje wam pozostać przy mojej osobie — przemówił groźnie — bez mojego rozkazu nie wolno się wam ruszyć z miejsca. Król wam nakazuje!

— Ojczyzny jeno słucham i ona nas wzywa! Na ramię broń! Marsz!

— Wolność i Kościuszko! — zerwał się krzyk ogromny i oddział ruszył tak prędko, że król zaledwie zdążył usunąć się przed stratowaniem.

Strzałkowski zajął Krakowską Bramę i ubezpieczywszy strażami wyloty Senatorskiej i Podwala, strzelał od czasu do czasu w kierunku pałacu ambasady¹⁾. Wkrótce przyłączył się do niego Konopka i obsadziwszy strzelcami naróżne domy, rozpoczął polowanie na Igelströmowych ordynansów, próbujących się przedrzeć przez kordony. Nie udało się to ani jednemu.

Tymczasem Zaręba poniósł się z dragonami, jak wicher, do Nowomiejskiej Bramy i wpadł w odmęt walki, jaka się tam toczyła z całym batalionem kijowskich grenadyerów pod wodzą Titowa, który na odgłos rozruchów porwał się ze stanowiska przy kościele P. Maryi na Nowem Mieście, pragnąc przyjść z pomocą Igelströmowi. Nastawał mu nieco na pięty Sierakowski ze swoimi rzeźnikami; ale Titow, nie pozwalając się wciągnąć w utarczkę, przynaglał jeszcze wojska do przedszego pochodu. Prowadził cztery działa i miał szwadron kozaków w awangardzie. Maszerował z rozwiniętymi znamionami, przy hucznej kąpieli kotłów, bębnow i brzękadeł, przerażających świstach, śpiewach i dzikich porykiwaniach. Ciągnął szumnym, jakby na podbicie wszystkiego świata. Spróbował skrócić w Świę-

¹⁾ Pałac ambasady, czyli poselstwa rosyjskiego, znajdował się przy ulicy Miodowej; mieszkał tam wódz sił rosyjskich w Warszawie, Otto Igelström.

tojerską i zaniepokojony ogniem armat, sztrychujących te ulice od strony ogrodu Krasińskich, powiódł zwarte szeregi ku Długiej.

Do połowy Szerokiej Freta batalion maszerował nie zaczepiany już ani jednym strzałem; lecz skoro jego czoło zaczynało dosięgać Długiej, major Ropp, czuwający w Nowomiejskiej Bramie, przywitał je kartaczami i gradem karabinowych strzałów.

Titow odpowiedział salwą wszystkich armat i rotowym, regularnym ogniem.

Zawiązała się gwałtowna bitwa.

Moskiewskie rotę kilkakrotnie rzuciły się do ataku na Bramę; lecz za każdym razem, dziesiątkowane kartaczami, darte bagnetami i cięte szablami dragonów Zaręby, cofały się w coraz większym nieładzie.

Titow, widząc daremną stratę czasu i ludzi, sprawiłszy jaki taki porządek w szeregach, poprowadził je biegiem ku Długiej, ale w tejże chwili uderzono na niego ze wszystkich stron: Sierakowski z tyłu Wązką Freta, z boku od Świętojerskiej wypadł Rutkowski z wolonterami, z Paulińskiego klasztoru następował zuchwale Kiliński, od czoła zaś Ropp zagradzał drogę kartaczami. Strzelano też ze wszystkich okien, dachów, sklepów i bram. Dymy przysłoniły ulice, od grzmotów i krzyków zadygotały mury.

Batalion bronił się słabo i rażony ze wszystkich stron, bity, szarpany, miażdżony gradami dachówek, kul i kamieni, zaczął się łamać, mieszać i oglądać za ratunkiem.

Wtedy Zaręba zuchwale uderzył na armaty, wyrąbał kanonierów i opanowaną baterię oddawszy Kilińskiemu, runął z dragonami na rozbite szeregi, roznosząc je na szablach i kopytach. Batalion poszedł w rozsypkę. Rozpoczęły się straszliwe łowy. Lud prawie z gołymi pazurami rzucał się z niesłychanym męstwem na żołnierzy. Krwawe błoto zachlupało pod nogami. Stosy trupów zaległy

pobojowisko. Ryki zabijanych i jęki rannych rozdzierały powietrze. Dymy przysłoniły ulice. Nie było już słycać komendy, ni pojedynczych głosów. Wszystko tonęło w zgiełkowym chaosie walki. Ucichły nawet strzały. Mordowano się białą bronią. Nadarmo błagano łaski. Nadarmo bronili się zrozpaczeni. Nadarmo powiewano białymi płachtami. Nie dawano pardonu. Zabijano bez miłosierdzia i litości, tępiono do ostatniego. Tu i owdzie grenadyerzy, zważywszy się w czworoboki, próbowali stawić czoło bagnietem i kolbami. Lud spiętrzał się dokoła niby fala, spadał na nich z wyciem huraganów i rozszarpywał, marli z ponurą rezygnacją. Bito się kupami i potykano się pojedynczo. Bito się po sieniach i sklepach. Bito się w podwórzach i w domach, na każdym miejscu, gdzie dopadnięto uciekających. Widzieć się dawały kłęby ciał, taczające się po brukach w dzikim szale walki. Zwłaszcza przy wylocie Długiej bitwa dawała obraz przerażających jatek, krew spływała ku kościołowi Dominikanów, formując niemałe kałuże. Kosy, bagnety, rzeźnicze noże, drażgi, topory, a nawet pazury i zęby pracowały tak rozwścieklone a skutecznie, że w godzinę z tysiąca grenadyerów ocalało się ucieczką na Miodową może ze trzystu gemeinów, reszta pocięta, niby krwawe snopy na żniwnem polu.

I lud poniósł straty niemałe, szczególniej dużo było rannych.

Właśnie słońce już weszło, gdy trąby i bębny zagrały zwycięską fanfarę.

Dowódcy jęli nawoływać do szeregów i sprawiać wśród nich ład jaki taki.

Ściągali pod kościół Paulinów z krzykiem niezmiernego tryumfu; maszerowali, potrząsając zwycięsko bronią, osmaleni prochem, w krwawem błocie unurzani, w łachmanach, ociekający krwią, cali w ranach, a z twarzami radosnymi, jak ten wstający, cudny poranek wiosenny. Zasię

z jakowychś nor i zaułków, z piwnic i ścieków, wypełzły mrowia ultajstwa, rzucały się do uprzątnia pobojowiska i obdzierania trupów.

Major Ropp, ledwie dyszący z utrudnienia, rozkazał Zarebie wziąć armatę i strzedz wylotu ulicy Długiej, a Linowskiego z Casparim i dwoma działami pchnął do oczyszczenia dziedzińca Krasińskich i przerwania z tamtej strony komunikacji Igelströmowi, sam zaś, wezwany przez pułkownika Poniatowskiego, popędził z pół szwadronem kawaleryi narodowej na Muranów przeciw następującym Prusakom.

— Brać armaty na szelki i naprzód!—rozkazał Linowski, szablą wskazując drogę.

Setki rąk porwało je z uniesieniem i przy śpiewach i łoscocie bębnow popędzili na Świętojerską, pod kratę dziedzińca Krasińskich. Zajmowała go moskiewska konnica, zabawiająca się strzelaniem w ogród i po domach.

Linowski zaatakował ją armatami, zasię Rutkowski z domu Latura i Kiliński z Teatru jęli prażyć akuratnym ogniem i zwolna następując, próbowali okrażenia.

Kawalerya cofnęła się w Miodową.

Linowski zajął dziedziniec, podsunął się do bramy wychodzącej na Długą i ustawivszy armaty nieco z boku, rozpoczął strzelać w Miodową, zapchaną wojskami.

Kiliński z poza krat raził celnymi strzałami, a Rutkowski, opanowawszy narożny dom Collegium Nobilium¹⁾, strzelał z okien i z dachów. Wojska cofnęły się gwałtownie w głąb ulicy aż do pałacu Borchów. Ryki się tam podniosły i wrzaski, jakoby w dzień ostatecznego sądu. Dał się widzieć srogi popłoch i zamieszanie. Bębny grzmiały do ataku.

¹⁾ Szkoła dla młodzieży szlacheckiej, założona przez ks. Stanisława Konarskiego przy ulicy Miodowej.

Linowski sam rychtował działa i przykładał lont, Caspari czynił toż samo; ale trzyfuntówki niewiele szkodziły nieprzyjacielowi, zaczęły już niedonościć.

Wówczas z Miodowej ryknęły ciężkie działa i zmieły polskich kanonierów, porucznik Linowski zginął, rozrywany na strzepy. Lud pierzchnął, uprowadzając jedną armatę. Gęste salwy pogoniły za nimi. Powrócili jednak z Casparim i porwawszy pozostałe działa, zdążyli jeszcze schronić się w Świętojerską. Moskale bowiem następowali głębokimi szeregami, oczyszczając przed sobą drogę armatami. Zajęli z powrotem dziedziniec i zdobywszy sam pałac, a nie mogąc się wdrzeć do ogrodu, gdy ogień arsenału bronił przystępu, rzucili się do rabowania domu Latura i następnych. Druga zaś część wojsk zaatakowała Senatorską. Śnać Igelström postanowił rozerwać obręcz zacieśniającej go insurekcji. Wojska ruszyły z paradą przy rozwiniętych znamionach i dźwiękach kapeli. Piechota z bagnetem w ręku dopadła Senatorskiej, jakby do szturm, ale przywitana straszliwym ogniem ze wszystkich domów, a kartaczami od czoła i z boku od Krakowskiej Bramy, cofnęła się w nieładzie pod osłoną armat i odległości. A domy nie przestawały ani na chwilę ziać morderczym ogniem. Strzelano z domu Teppera; strzelano z pałacu biskupów krakowskich; strzelano z pałacu „Pod gwiazdą“ Kossakowskich; a szczególnie i najrzęściej strzelano z domu Roeslera. A z rogu Koziej raz po raz rzygała kartaczami armata Kacpra z Ojcem Serafinem na czele, którzy ją przyciągnęli od Kapucynów w najkrytyczniejszym momencie. Od Bramy sztrychował ulice Strzałkowski.

Pięć razy uderzały wyjące ze wściekłości hordy, poganiane nahajami kozaków, i za każdym razem, jakby odbijając się łbami o nieprzełamany mur, cofali się, pokrywając ziemię zabitymi i rannymi. Nie mogąc przełamać, rozpoczęły strzelaninę z pod domów i z krążganków kościoła

Kapucynów, zaś od czasu do czasu bili z armat. Domy nie przestawały odpowiadać, czyniąc się podobne wulkanom, nieustannie miotającym ogniem i grzmotami. Ojciec Serafin również niekiedy strzelał ze swej armatki, a w przerwach porywał karabin i polował na upatrzonogo, poczem najspokojniej powracał na stanowisko i do przerwanych pacierzów.

Nie milknące ani na chwilę bicie dzwonów, wystrzały, warkoty bębnow i wrzaski dawały poznać, jako insurekcya już na wszystkich wyznaczonych punktach wybuchnęła. Walczono na Lesznie, na Długiej, na Muranowie i na Faworach. Walczono również na Nowem Mieście, w paru miejscach nad Wisłą, na Miodowej i na Senatorskiej. Z każdą minutą potężniały zgiełki walk i coraz więcej zbrojnego ludu wysypywało się w ulicę, że równo ze wschodem słońca cała Warszawa utonęła w wojennej zawierusze i trzęsła się od grzmotu dział. Gorączka oładnęła miastem i wszystkie serca rozdygotały się trwogą, zarówno jak i nadzieją. Na zewnątrz miasto dawało pozór obumarłego: sklepy stały zawarte, parterowe okna przystonięte okiennicami, w wielu kamienicach furty były zabarykadowane, ulice zionęły pustką i trwogą. Jeno Krakowskie, stawało się nadmiernie zgiełkliwe, bowiem co chwila przelatowali jacyś jezdni, cwałowały, co koń wyskoczy, oddziały kawaleryi, turkotały ambulansowe wozy i amunicyjne jaszczce, przenoszono rannych, a najczęściej zbrojne gromady, wrzeszcząc: „Do bronii!“ bijąc w bębny i strzelając w powietrze, przewalały się, niby burza. Czasem brzęczały szyby, niewiadomo przez kogo wybite, świstały kule i od grzmotu armat sypały się z kamienic dachówki. Psy też wyły w całym mieście od samego świtania i z domów, z poza okiennic i bram dobywały się ciężkie szluchy i rozpaczliwe jęki.

W kościołach klasztornych wystawiono Przenajświęt-

szy Sakrament, przed którym mnisi śpiewali suplikacje, zaś w zakrystiach, kruchtach i nawach opatrywano rannych.

Właśnie już było się słońce wyniesło nad Pragę, kiedy gdzieś od Nowego Świata zaryczały ciężkie działa i do Strzałkowskiego w Krakowskiej Bramie przypadł stary Żyd.

— Rozkaz generała Cichockiego dla komendanta Konopki! — bełkotał zadyszany.

Zjawił się Konopka i odebrał karteluszek ¹⁾, w którym Cichocki rozkazywał mu, aby łącznie z Kilińskim uderzyli na tyły wojsk moskiewskich, walczących z regimentem Działyńskiego.

— Powiedz generałowi: Kiliński bije się na Freta, ja zaś natychmiast wyruszam—zdeterminowałem²⁾ i zagwizdawszy w szczególniejszy sposób na swoją bandę, poprowadził ją Krakowskiem Przedmieściem. Pociągnęli, niby wilki na łowy, wyciągniętym szeregiem przemykając się pod domami, z karabinami w garściach. Był to wybór najgorszego ultajstwa; obdarci, nieledwie bosci, ale z minami zuchwałych obwiesiów, doskonale uzbrojeni, w jednostajnych czarnych kapeluszach z czerwonymi piórami, w bandoletach przez piersi z napisami: „Śmierć tyranom“ dawali obraz prawych sankiulotów ³⁾. Trzymał ich żelazną ręką i mógł przemienić w bohaterów wolności: tak ślepo byli mu posłuszni. Konopka, zagarniając po drodze zbrojne kupy pod swoją komendę, przynaglał do pośpiechu, gdyż odgłosy bitwy były coraz żywsze.

Jakoż regiment Działyńskiego już się cały pokazał w bojowej akcji.

Właśnie nastąpiła pora, kiedy pułkownik Hauman fałszywymi atakami przymuszał Moskalów do zwrócenia całego frontu przeciw Nowemu Światowi, by tem skutecznej

¹⁾ Karteczkę, bilecik. ²⁾ Postanowił, oświadczył. ³⁾ Zagorzałych rewolucjonistów.

mogły wysłane oddziały zajmować flanki, gotując się do generalnej rozprawy.

Moskale sformowali na Krakowskim, przed kościołem Świętego Krzyża, potężny czworobok z dwóch batalionów piechoty, dwóch szwadronów jazdy i ośmiu armat ciężkiego wagomiaru. Dowodził nimi generał Miłaszewicz i pułkownik ks. Gagaryn.

Hauman następował z Nowego Świata i z uporem, jakby próbując łbem rozbijać żelazny wał nieprzyjaciół, uderzał raz po raz. Odrzucany ogniem piechoty i kartaczami dział, stojących pomiędzy pałacem Branickich a kościołem Dominikanów Obserwantów, cofał się aż do Wareckiej i sprawiwszy przetrzebione szeregi, znowu atakował, nie dając nieprzyjacielowi czasu do zastanowienia. Ponościł przytem niemałe straty, ale mając na uwadze cel ostateczny, nie szczędził ludzi i nie ustawał. Przewłóczyła się ta walka całe godziny, lecz swego dokonał. Napastowany bowiem tak zażarcie nieprzyjacieli, sformowawszy front przeciwko niemu, a zasłoniwszy boki jazdą, ruszył wszystkimi siłami. Hauman, profitując ¹⁾ z ciasnoty ulicy, wystąpił z tak szalonym odporem przeciw naciskającym batalionom, że te, nie mogąc uderzać całym frontem, stłoczone na niewielkiej przestrzeni, a niemilosiernie bite od czoła, były przymuszone do cofnięcia się aż za Świętokrzyski kościół. Ale w odwrocie wystąpiły moskiewskie ciężkie działa. Zadygotały od grzmotów domy i jakby nieustający huk piorunów rozdzierał powietrze. Dopomagały rześiste salwy piechoty, gotującej się do nowego ataku. Nim zdążyli uderzyć, Hauman wysłał co najcelniejszych strzelców, którzy, opanowawszy wieżę Dominikanów, pałac Karasia i Świętokrzyskie dzwonnice, rozwinęli z nich morderczy ogień do kanonierów. Wspierała ich w tem przedsięwzięciu armata,

¹⁾ Korzystając.

bijąca z rogu Świętokrzyskiej, a szczególnie druga, dobrze ubezpieczona na Sułkowskim i strzelająca kartaczami.

I stała się rzecz wierze niepodobna: półbateria moskiewska, najbardziej wysunięta, zamilczała z braku obsługi. Kanonierzy leżeli, wybici co do jednego. I niechybna śmierć porывała każdego ze śmiałków próbującego się do niej przedostać. Napróżno też jedne i drugie wojska chciały ją uprowadzić. Obie strony broniły sobie dostępu tak zajadle, że armaty przez dłuższy czas stały opuszczone, pokryte jeno trupami i rannymi.

Naraz załomotały ponuro tarabany i Hauman poprowadził regiment do ataku.

Generał Miłaszewicz, wytrzymałszy natarcie, odpowiedział kontratakami wszystkich sił.

Rozpoczęła się zażarta walka, prowadzona wedle surowych reguł sztuki wojennej.

Zrazu więc wszystko szło dziwnie sprawnie, akurrotnie i niemal, jakoby na parady.

Bębny biły twardo, ponuro i nieustannie. Tu i owdzie grały trąbki. Salwy karabinowe szły po salwach. Grzmiały kapele. Przelatywały ostre krzyki komend. Szczękały żelaza. Na krótko zrywały się tętenty konnicy. Dudniała głucho ziemia pod krokami tysięcy. Chmury modrawych dymów przysłoniły pobojowisko, rozdzierały je ogniste smugi wystrzałów. Niekiedy wynosiły się żółte znamiona¹⁾ z czarnymi orłami. Czasem bujna pieśń zrywała się z odmetów walki. Szeregi rozwijały się i związały wedle rozkazów. Dwa wojska, niby dwie groźnie spiętrzone fale, raz po raz uderzały na siebie ze wściekłością i rozbijając się o męstwo przeciwnika, spływały w głąb, pozostawiając jeno zabitych i rannych.

¹⁾ Chorągwie rosyjskie.

Wracały jednak uparcie i niezmożenie, bijąc w siebie z coraz większą zawziętością.

Moskale ciężarem swojej masy, liczniejsi w dwójnasób, już zaczynali brać górę.

Owo w tym groźnym momencie zagrały nagle trąbki na flankach i polskie oddziały runęły na nich równocześnie ze wszystkich stron.

Porucznik Sypniewski, mimo najcięższego ognia, uderzył z kompanią fizyliarów¹⁾ od pałacu Branickich. Od strony Sułkowskiego wystąpił porucznik Lipnicki, torując sobie drogę kartaczami. Z domu apteki za Świętokrzyskim kościołem wypadł podporucznik Woliński z chorążym Urbanowskim i niczem niepowstrzymaną lawiną bagnatów przedzierał się do armat. Porucznik Witkowski z dziedzica pałacu Małachowskich prowadził kompanię i krokiem równym i zwartym szykiem rzucił się odrazu na bagnety, pozostawiając za sobą stopy trupów. Od szkoły rycerskiej pokazał się Sowiński z plutonami kadetów i wspierany załogą pałacu Mokronoskich i zbrojnym ludem, czynił nie-małą dywersję²⁾. Szedł mu z pomocą kapitan Zabilski, potężnie szarpiąc moskiewską flankę.³⁾

Bitwa w bardzo krótkim czasie jęła przybierać inny zgoła obrót.

Osadzone w miejscu moskiewskie bataliony napadem z flanków, bite ze wszystkich stron i ogarnięte popłochem, zaczynały się mieszać, łamać i zwolna cofać.

Skończyła się regularna bitwa i rozpoczęła się rzeź. Zamilkły armaty. Bito się już na białą broń. Żołnierz potykał się z żołnierzem. Pierś uderzała o pierś. Wreszcie i karabinowe strzały przycichły, nie było czasu na nabijanie. Bagnet i kolba pracowały coraz zażarciej

¹⁾ Oddziałem strzelców. ²⁾ Pomieszenie planów nieprzyjacielskich. ³⁾ Skrzydło wojska.

wśród tłoków i wrzasków. Już szable siekły migotem błyskawic i rozlegał się głuchy odgłos kolb i szamotań.

Na Krakowskim, jakoby w kotlinie ocembrowanej murami pałaców, w jarzających promieniach słońca i pod wiośnianem niebem z niepokalanego błękitu, srożyła się przerażająca zawierucha i w kurzawach, dymach i potokach krwi przewalała się od brzegu do brzegu z porykiwaniem orkanów. Dzika rozpacz wzięła się za bary z szaleństwem.

Połamane moskiewskie szeregi, napastowane z furją, gniecione ze wszystkich stron i spychane do środka, skłębiły się w olbrzymie wiry, szamotające się z dzikiem wyściem w żelaznych pazurach insurgentów¹⁾. Raz po raz jakieś rotę, zwarte w mury czworoboków, najeżone karabinami, pijane krwią, mordem i rozpaczą, rzucały się niby pocisk na przebój — i marły pod bagnetami zrąbane, bite na wszystkie sposoby i rozdierane, że tylko nieludzki, okropny krzyk brzmiał po nich przez dłuższą chwilę i niósł się żałośnie w przestworza.

Działynicy, jako lwy, rzucały się w pojedynkę na całe rotę; jako drapieżni, nieustraszeni orłowie, spadali na całe stada. Walczyli z nieopisanym męstwem, z pogardą śmierci, z szaleństwem archaniołów, zwalczających szatana. Bojowa furja jednak podnosiła wszystkich. Nie było już szarż — byli jeno bojownicy, rycerze, oswobodziciele, bohaterzy!

— Wolność i Kościusko! — tenci jeno okrzyk bojowy targał się z piekielnych chaosów bitwy.

Z tem hasłem na ustach walczyli. Z tem hasłem ginęli. Z tem hasłem zwyciężali.

Ale i wróg walczył mężnie i drogo sprzedawał swoje życie. Miłaszewicz, zrozumiałszy przegraną, nakazał cofać się krok za krokiem w stronę Królewskiej.

¹⁾ Powstańców.

Ale wtem pokazała się od Wizytek potężna gromada uzbrojonego ludu. Straszne kosy załśniły w słońcu, las pik zakołysał się nad głowami. Konopka spieszył na przedzie ze swoimi obwiesiami. Z niesłychanym wrzaskiem ponieśli się na moskiewskie szeregi.

Ruszył im naprzeciw ks. Gagaryn z jazdą i odrzucający impetem nieco w tył, chciał się salwować¹⁾ ucieczką w Królewską ulicę. Zastąpił mu drogę major Zajdlic, który, przedarłszy się przez Saski Dziedziniec, uderzył z Końskiego Targu, rozbił i pognął pod ciosy sformowanych na nowo tłumów Konopki. I stało się, jak żeby gradowa ciężka chmura zwała się na szwadrony, porwała je piekielną mocą i zmiesiwszy w potworne kłębisko, jęła nimi miotać na wszystkie strony, niby kupą uschłego listowia. Gromowe ryki rozdarły powietrze. Nie dojrzał nad migoty broni, nad jakieś majaczenia ludzi, twarzy, koni, rąk i ciosów. Nie usłyszał nad obłąkańcze wycia i głuche łomoty, jakoby tysięcy cepów, bijących zapamiętanie i nieustannie. Czasem kwik koński zagórował na mgnienie. Chwilami zaś huragan zdawał się przycichać, że były w niebo jęki okropne, charczenia, zgrzyty żelaza, odgłosy szamotań i pojedyncze wrzaski mordowanych.

Walka była krótka i tak mordercza, iż zaledwie kilkunastu kawalerzystów zdołało się wymknąć; reszta leżała, zwalona krwawym omłotem śmierci, wraz ze swoim dowódcą ks. Gagarynem, który pono uderzony od kowalczyka z Saskiej Kuźni rozpaloną sztabą, padł z rozbitą głową.

Konopka rzucił się po tem zwycięstwie z sukursem Haumanowi.

Podobien bogom z urody, bez kapelusza, z włosom w rozwianych puklach, blade, z piorunami w oczach, wzniosły, z szablą w ręku, okrwawiony, płomienisty a baczny

¹⁾ Ratować się.

na ewenta¹⁾ walki, prowadził lud, pierwszy rzucając się do boju i roznosząc śmierć i przerażenie.

Ale Moskale już zaczęli ciskać broń, wołać pardonu i powiewać białymi płachtami.

Nieprzyjaciel zniesiony gęstym trupem pokrył pobojowisko. Umilkła bojowa zawierucha, natomiast tem okropniej rozbrzmiały jęki umierających, rannych i błagania litości.

Chwila była jedyna, kiedy Miłaszewicz przypadł do Haumana, błagając o życie.

— My pokonanych nie mordujemy! — odpowiedział mu wyniosłe pułkownik i odebrawszy szablę, rozkazał Konopce, by pozbieranego niewolnika odprowadził do prochowni na Mostową.

Regiment pomaszerował w stronę Zamku wśród nieopisanego entuzjazmu tłumów, jeno kapitan Mycielski, strzegący cały czas bitwy tyłów na Wareckiej, pozostał z jedną armatą przed Saską Kuźnią dla ubezpieczenia wylotu Królewskiej ulicy.

Wieść o zwycięstwie błyskawicą obleciała miasto, wzbudzając wszędzie niesłychaną radość i podnosząc serca. Z całego śródmieścia, kto jeno żyw, leciał naprzeciw zwycięzców, maszerujących w bojowym ordynku, z rozwiniętym sztandarem, przy grzmiącym łoskocie kotłów, granii trąb i piszczałek. Nieustające owacye przeprowadziły ich po drodze, co tak zatrudniało w marszu, że dopiero o samem południu stanęli pod Krakowską Bramą. I natychmiast, nie bacząc na znużenie tylogodzinne walką, parę kompanii poszło na ochotnika w pomoc ludowi, daremnie szturmującemu pałac Igelströma na Podwalu.

Prawie o tej samej porze na kwaterze komendanta w arsenale zebrano się na krótką naradę. Brali w niej

¹⁾ Wyniki, przebieg.

udział: Cichocki, Deybel, Orłowski, Giesler, Chomentowski, Dobrski, oraz paru młodszych oficerów. Tak jednak byli zgorączkowani oczekiwaniem wiadomości od Haumana, że nikt nie zdobył się na rozpoczęcie dyskursów¹⁾. A jakby na dobitkę, ordynansi, wysłani do powzięcia języka, nie powracali. Wybiło już południe, meldowano o jakowychś niezwykłych wrzawach pod Zamkiem, o zmiłknięciu strażów na Krakowskim, ale rezultat bitwy pozostał jeszcze niewiadomym. Najgłębsze zaniepokojenie targało sercami.

Natomiast nieustannie przychodziły wiadomości z drugich stron miasta. Przynosili je żołnierze, to kobiety, to Żydzi, to nawet dzieci, a najczęściej kwestarze. Składano je ustnie, ale trafiały się i relacye pisane ołówkiem na zmiętych, często zakrwawionych karteluszkach. Na ogół brzmiały pomyślnie, tak jednako bałamutne w szczegółach, zwłaszcza co do ruchów wojsk moskiewskich, że porucznik Kubicki, który je przyjmował, aż potniał z denerwacyi²⁾, nie mogąc z nich wymiarkować jasnego obrazu walk i sytuacji; każde bowiem przesunięcie stanowisk powinien był oznaczać na wielkiej plancie Warszawy czerwonymi lub niebieskimi szpilkami. Napróżno też meldował swoje wątpliwości, nie dawano uwagi jego słowom.

Dobrski często wybiegał w dziedzińce i powracał coraz chmurniejszy. Chomentowski, tak zawsze panujący nad sobą i zamknięty, wciąż szukał okazji do sprzeczek. Orłowski widział wszystko na czarno. Deybel, mimo lat i reumatyzmów, snuł się ustawicznie po kwaterze, zrzedząc i strofując. Giesler, ukryty w kłębach dymów, kłął nieustannie i splotwał. Młodszy zaś, jak Banczakiewicz i Pieściński, siedzieli pod oknem, obgryzając paznokcie z tłumionej wściekłości. Tylko jeden generał Cichocki wydawał się być spokojnym. Z jego szerokiej i krótkiej twarzy niepo-

¹⁾ Rozmów. ²⁾ Rozdrażnienia, zdenerwowania.

dobna było wyrozumieć prawdziwego stanu duszy. Szare, głęboko osadzone oczy patrzyły zimno i bacznie, zdawał się jeno wciąż nasłuchiwać, przyczem drgała mu dolna warga i na policzkach występowały mu czerwone plamy.

Jakieś bębnienia rozległy się w dziedzińcach. Rozkazał dowiedzieć się przyczyny.

— Wolontery Kilińskiego, przynieśli trupa Linowskiego i kanonierów — meldowano.

— Żeby mi trwożyć wojska! — zakrzyczał groźnie — kto śmiał się rozporządzać?

— Taki widok może pobudzić żołnierzy do słusznej zemsty! — wystąpił Chomentowski.

Generał nie podjął rzuconej rękawicy, odwrócił się i zamilkł. Zamilkła i reszta.

Dalekie wrzawy bojów przedzierały się na kwaterę słabemi echami. Cichocki niecierpliwie otworzył okno. Upajające powiewy wiosny, przesycone słońcem i zapachami, wtargnęły do niskich, zimnych i zadymionych izb. Dały się słyszeć wróble świergotania, odgłosy strzałów i dzwonięcia napływały żywiej i rozgłośniej.

— Porucznik Lipnicki — zameldował żołnierz, otwierając drzwi na roścież.

Pokazało się w progu jakoby widmo człowiecze, blade, okrwawione, w podartym mundurze.

— Powinny raport pułkownika Haumana — szepnął, usiłując się wyprężyć.

— Rannyś! Cyrulika! — rozkazał Cichocki, rzucając się na raport — zwycięstwo! Miłaszewicz zniesiony i w niewoli. Przeszło tysiąc niewolnika! Wszystkie działa zabrane!

— Melduję pokornie, jako spóźniłem się z raportem — suplikował się¹⁾ Lipnicki, przyszedłszy nieco do siebie — przyczyna była, że na Wierzbowskiej ubito pode mną konia,

¹⁾ Tłomaczył się.

zaś na Bielańskiej raniono mnie flankowym ogniem z Tłomackiego. Sporo czasu przeszło, nim potrafiłem się zebrać i dosięgnąć arsenału.

— Ojczyzna ci tego nie zapomni — odpowiedział mu Cichocki, zabierając się do głośnego czytania raportu. Skupili się przy nim wszyscy. Relacja¹⁾ była obszerna i poruszająca wiele materii. Hauman dawał obraz aktualnych²⁾ stanowisk moskiewskich, oparty na doniesieniach szpiegów. Konkluzja³⁾ z tego wychodziła groźna, jako Moskale, posiadając główne siły jeszcze nienaruszone i potężną artylerię, muszą się pokusić o zdobycie arsenału i pójść z pomocą Igelströmowi. Potwierdzały te mniemania zeznania jeńców, które w aneksach⁴⁾ dołączały do raportu.

— Wyprowadzą z dziesięć tysięcy regularnego żołnierza! — ktoś szepnął sfrasowany.

— Zliczymy ich po zwycięstwie! Radźmy, jak pobić te hordy! — rzucił wyniośle Cichocki.

Zameldowano posłańca z pola walki.

— Powinny raport kapitana Mycielskiego — objaśniał Kuba, fajfer⁵⁾ od Działyńskich.

Mycielski donosił o ruchach Klugena, młodszego Igelströma i o wyruszeniu z pod rogatek Jerozolimskich głównych sił generała Nowickiego. Błagał również o ubezpieczenie Saskiego Dziedzińca, którym mogą przejść na arsenał.

— Ani jednej zbędnej armaty, ani jednej zbędnej kompanii! — zabiadał Dobrski.

— Podporucznik Wroński! — rozkazał Cichocki, coś nagle zdeterminowawszy.

Zjawił się przyzwany i stanąwszy w progu, bystro toczył oczami.

¹⁾ Sprawozdanie. ²⁾ Rzeczywistych, istotnych. ³⁾ Wynik, rezultat. ⁴⁾ Dodatkach. ⁵⁾ Muzykant grający na piszczałce.

— Weźmiesz półbaterię sześćofuntówek, po sto strzałów na działo, w połowie kartaczowych, zapasowe jaszczce, rezerwowe cugi, obsługę i zajmiesz natychmiast Saski Dziezinię.

— Wedle rozkazu, panie generale! — zasalutował, cofając się zarazem do wyjścia.

— Czekaj! Mycielski z piechotą i wolonterami Kopki stoi przy Saskiej Kuźni, przyjdzie z pomocą. Powierzam ci stanowisko wagi najwyższej i ufam, jako spełnisz swoją powinność, nie przepisuję ci porządku czynności, postąpisz, jak będziesz rozumiał. Z Bogiem!

— Ten młokos niema eksperyjencyil¹⁾ — mruknął niechętnie Deybel po jego wyjściu.

— Ale bardzo zdatny! Znam go bliżej i polegam na nim w zupełności.

Rada odbywała się pospiesznie, kiedy oznajmiono wysłańca od Kilińskiego.

Majster donosił, jako Moskale w dziedzińcu Krasieńskich gotują się do wystąpienia.

„Szarpać ich ze wszystkich stron i zatrudniać“. Napisał krótki rozkaz Cichocki.

— Rotmistrz Radzymiński! Wołać natychmiast! — zakrzyczał, naraz porywając się z miejsca.

Stał w progu rotmistrz ponury, jak noc, i milczący.

— Okryj Waszmość swoim szwadronem Wrońskiego i przeprowadź do Wierzbowskiej.

Po chwili rozległy się szalone tęenty i turkoty armat pędzących galopem, a po mgnięciu i brzaski karabinowych wystrzałów, gdy bateria przelatowała wpoprzek Długiej.

Znowu przylecieli z wiadomościami od Kosmowskiego z koszar Mirowskich.

¹⁾ Doświadczenia.

Raport był krótki: Moskale na Lesznie formują się w kolumnę atakową.

Cichocki napisał rozkaz Kosmowskiemu, aby posiłkując Kriegera, kiedy nieprzyjaciel ruszył na arsenał, uderzył mu na tyły i z flanku od Orlej i Solnej.

— Burza wzbiera i lada chwila zwali się na nas — zauważył spokojnie.

Jakby w odpowiedzi, zagrały armaty od strony Miódowej.

— Na stanowiska, Mości Panowie! Na stanowiska!

Jakoż istotnie groźna burza, trzaskająca piorunami, nadciągała z paru stron.

Była godzina druga z południa, kiedy zagrzmiały armaty najcięższego kalibru i rozpoczął się atak na arsenał. Moskale występowali od Leszna; uderzali przez ogród Krasieńskich i głębokimi, zwartymi szeregami posuwali się ulicą Długą.

Huknęły naraz kapele, zabiły bębny, dzikie „hurra!“ wstrząsnęło ulicami i trzy potężne kolumny, jak trzy tarany, zionące ogniem dział i karabinów, uderzyło na arsenał.

Ziemia zadygotała od grzmotów i czarne, duszące dymy przysłoniły słońce.

Cichocki, oblatując wszystkie stanowiska, nakazywał surowo:

— Ani strzału! Stać na miejscach! Czekać komendy! Spokojnie!

Arsenał dawał podobieństwo korabia na spiętrzonych wełnach dymów, ognia i grzmotów. Wynosił się chwilami ze skłębionych tumanów i zapadał z powrotem. Milczał jednak, niby skała nieporuszona wpośród rozszalałych żywiołów. Straszliwa zamieć działowych pocisków uderzała w mury ze wzrastającą siłą i gwałtownością. Moskiewskie piechoty przysuwały się coraz bliżej nieustającym rotowym ogniem.

— Wszystkie baterye! Cel, pał, nabijaj! — przeleciał nareszcie rozkaz Cichockiego.

Arsenał przemówił głosami gromów i błyskawic.

Moskale drgnęły pod tą ulewą żelaza, lecz napierani z tyłu przez ściżbione masy, płynęli naprzód, niby wzburzona fala, coraz potężniej bijąca w kamienne tamy.

Chwila się stawała groźna i nieobliczalna w następstwa.

Arsenał bronił się ze wszystkiej mocy. Artylerya rozwijała najęźszy ogień. Armaty biły salwami. Każda strzelnica zionęła morderczym ogniem. Strzelano z okien, murów, a nawet i dachów. Dziedzińce pełne były dymów i kurzawy. Nieludzkie wrzaski wdzierały się do wnętrza. Od gradów ciężkich kul, tłukących jakoby piekielnymi dziobami, wszystko się trzęsło i dygotało. Tu i owdzie spadały sufity na głowy obfońców, leciały zawieruchy cegieł i tynków. Otwierały się nagle wyłomy w ścianach. Walily się mury. Padały wybite bramy. Jęki rannych rozdzierały powietrze. Niekiedy brandkule¹⁾ z piekielnym chichotem uderzały w dachy. Wybuchały pożary. Czasem granaty rwały się w zatłoczonych dziedzińcach. Moskiewskie baterye ciężkich dział nie ustawały ani na mgnienie, bijąc takim huraganem żelaza, iż zdawało się, jako lada chwila wszystko się rozwali w gruzy i nie pozostanie kamień na kamieniu.

Arsenał bronił się, niby lew osaczony.

W niskich izbach, salach i kazamatach, przepelnionych gryzącymi dymami, jakby na dnie rozszalałego morza, leżała bełkotliwa cisza i wszystko odbywało się w spokoju i z niesłabnącą sprawnością. Żołnierze byli tak pełni ekstazy²⁾ i skupienia, że obrona przybierała chwilami podobieństwo jakiejś dziwnej uroczystości. W bladych, na kamień stężalych twarzach, w rozplomienionych oczach

¹⁾ Kule zapalające, bomby. ²⁾ Zachwytu, uniesienia.

i w zwartych postawach widniała nieprzełamana moc i do stojeństwo. Śmierć krążyła dokoła. Śmierć wyła na każdym kroku. I śmierć drapieźnemi szponami szczybiła szeregi. Nikt na to nie dawał baczenia. Nieulekle patrzyli w przeznaczenie. Każdy trwał niby skała na swoim stanowisku. Panowało przytem głębokie milczenie. Po zabitych ścieśniały się szeregi i walka ciągnęła się dalej.

Słychać się jeno dawały komendy, szczęki armatnich zamków, zgrzytania wyciorów, jednostajne trzaski stępli, wybuchy i nieustający war szeptanych pacierzów.

Już ustawały ręce od pracy, parzyły lufy, ćmiło się w oczach i dech zapierały gorzkie, prochowe dymy. A od ciągłych grzmotów i wstrząśnień, bojowej gorączki, wyteżonej uwagi wszystko zaczynało przybierać kształty straszliwego majaczenia. Ale od dowódcy aż do samego gemeina jednakowo spełniali swoją powinność i jednakowo gotowi byli umierać.

Generał Cichocki wciąż był na wszystkich oczach. Zjawiał się wszędzie, gdzie był powinien, gdzie było potrzeba rady, pomocy i decyzji. Był duszą arsenału i obrony.

Rozmawiał z Radzymińskim, stojącym z jazdą w dziedzińcu, kiedy właśnie zamilkły wraże armaty i buchnął krzyk niezmierny. Moskale rzucili się do szturm. Wyjrzał jakąś strzelnicą: masy wojsk, zjeżone bagnietami, pędziły na fosy i szańce.

— Wszystkie baterye kartaczami! Cel, pał, nabijaj! — rozkazał, podnosząc perspektywę¹⁾ do oczów.

Zamigotała wstęga błyskawic i ulewą piorunów uderzyła w szturmujące szeregi. Nieludzki ryk wydarł się z ty sięcy piersi. Jakoby kolczaste bicze pękających granatów jęły smagać, siec i rozdzierać na strzępy. Zawyły rozszone roty i dzikie, pijane wściekłością, rzucały się nie-

¹⁾ Lunetę.

powstrzymanie naprzód. I zdawało się, jako nic ich powstrzymać nie zdoła. Kładły się, niby bór pod uderzeniem huraganu, zawały fosi trupami i niczem niezmożone, rwały się do nowych szturmów. Ze ślepem męstwem, spiętrzonemi falami biły w arsenał i miażdżone, podarte i zdziesiątkowane, jak fale, odpływały gdzieś w głąb, aby za chwilę powrócić z jeszcze większą siłą i uporem.

Ale i arsenał bronił się coraz potężniej, zwłaszcza iż na tyłach szturmujących kolumn podniosły się bojowe zgiełki i gęste strzelaniny. Zbrojny lud spieszył na pomoc.

Kiliński napadał z dwóch stron, szarpiąc na wszystkie sposoby. Od Freta grały działa Zaręby coraz bliżej i częściej. Z Leszna również ryczały armaty. Kapitan Kosmowski z Orlej, a Krieger od kościoła napierali zajadle.

Moskale, osaczani w żelazną obręcz powstańców i bici z arsenału, zaczęli już nieco słabnąć, chwiać się, mieszać.

Pochwycił ten moment Cichocki. Trąbki rzuciły sygnały i piechoty jęły się pospiesznie wysuwać do kontrataków, kiedy naraz straszliwy huk wstrząsnął murami. Wschodnia baszta wyleciała w powietrze. Arsenał zadygotał aż do fundamentów. Olbrzymi słup ognia, dymów i murów targnął się posępną fontanną w górę i opadł, zasypując rumowiskami dziedziniec i część ulicy Długiej.

Moskale, w obawie dalszych wybuchów, cofnęli się gwałtownie w tył; ale po chwili, profitując z gęstej kurza- wy i dymów, runęli jak potok na wyłamane ściany.

Nie zaskoczyli jednak Cichockiego. Na rumowiskach już czekały piechoty z karabinami do strzału, armaty nabite kartaczami, i wolontery z kosami.

Bitwa zawrzała z nową siłą i zawziętością bezprzykładną.

Traicznie długie chwile ważyło się zwycięstwo. Bo- wiem przychodziły momenty, jako ciężka artyleria mo- skiewska i regularne wojska zdawały się brać widoczną

górze, i wtedy arsenał, zalewany orkanami pocisków i falami szturmów, przybierał postać jakoby otwartej mogiły, bro- niącej się już bez tchu, bez pamięci, z rozpaczą szaleństwa i z niewysłowionem bohaterstwem. Rozpacz podnosiła si- ły; rozpacz dawała moc nadludzką. Każdy walczył za dziesięciu. Każdy stawał się już ciosem niechybnie śmier- telnym. Każdy zmagał się ze wszystkimi. Chwilami mil- kły armaty, ścichały karabiny, ustawały nawet wrzaski, a jeno wśród ponurych rzeżeń, jęków i przekleństw sza- motały się dziko wojska, walczące białą bronią. Piers łamała się o pierś, zgrzytały żelaza, charczały rozdzierane gardziele, trzaskały gnaty i wyły zbiesione gromady. Chwymano się już za bary i bito z wściekłością o ziemię, o mury, o działa i wozy. Przychodziły chwile, w których nie było nic nad głosy rozpacz, mordów i nieubłaganej nienawiści. Oślepiające migoty szabel, fontanny krwi, po- tworne rany, sztychy bagnietów, straszne ciosy kos, świsty spadających toporów, łomoty dragów, zakrwawione pięście, oszalałe oczy, krwawe maski twarzy, obłąkańcze ruchy, czasem salwa, niekiedy jakiś podziemny ryk tratowanych, niekiedy warkoty bębnow, trąbki jazdy następującej z flan- ków, obłoki dymów — oto jakby zjawiony obraz szaleń- stwa, miotającego się z głuchym porykiem pod murami arsenału.

Przemogło bohaterstwo. Wolność zatryumfowała nad niewolnikami.

Zwiastunem zwycięstwa było rozbitcie Tiszczewa. Zgnie- tły go piechoty gwardyi i lud, atakujący z Leszna. Tisz- czew padł, śmiertelnie ranny, a reszta jego batalionu wy- wiesiła białą chorągiew. Wtedy Cichocki zwrócił się wszystką mocą przeciw kolumnom, bijącym z Długiej i z ogrodu Krasińskich. Z obrony przeszedł do ataków i niby orzeł, raz po raz spadał na wyjące hordy żołdactwa. I niemało wspierany kupami zbrojnego ludu, zbiegającego się coraz

liczniej, uderzał nieustannie, nie pozwalając wrogowi na wytchnienie i nie dając mu ani chwili opamiętania.

Owo w tym czasie podporucznik Wroński, zajmwszy Saski Dziedziniec i przy pomocy Konopki obsadziwszy bramę od Królewskiej armatami i strzelcami, ze drżeniem nasłuchiwał grzmotów od strony arsenału. A już z ledwie hamowaną niespokojnością wyglądał korpusu Nowickiego, o którego ruchach co chwila mu donoszono. Był już na Grzybowie, zaś znaczna część jego wojsk nadciągała Marszałkowską. Za chwilę mogli wkroczyć na Królewską. Na zatrzymanie całej armii Wroński miał około stu ludzi i dwie armaty. Prawda, niedaleko, bo pod Saską Kuźnią, stał jeszcze Mycielski z trzema kompaniami Działyńczyków. Razem była to garść przeciwko tysiącom! Podporucznik ducha nie tracił, ale dla zabicia udręki jął gorąco dyskutować z Konopką.

Siedzieli pod murem, ćmiąc lulki, oczy same strażowały u wylotu ulicy.

Dzień był bardzo cudny. Niebo wisiało błękitne, lśniące i bez chmur. Rozświergotane loty jaskółek przecinały ją czarnymi węzownicami. Ze Saskiego Ogrodu płynęły upajające powiewy. Powietrze było pachnące wiosną i nagrzaną. Po drzewach śpiewały ptaki. W niedojrzanych wysokościach słycać było przelatujące dzikie gęsi. Wiosna szła wszystkim światem. Jenó ziemia dygotała od nieustannych grzmotów armat. Miasto huczało, niby ul wzburzony. Ze wszystkich stron buchały bitewne zgiełki. Tu i owdzie nad ulicami podnosiły się dymy pożarów. Niekiedy słycać się dawały jazdy, przelatujące cwałem. Puste ulice dawały podobieństwo grobom otwartym, śmierć jeno niemi chodziła, posiewając trupami. Wojna głosiła się na wsze strony biciem bębnow, graniem trąb, wrzaskiem kapel, rykami armat, mordem i pożogą. A nad nią ze

wszystkich wież kościelnych huczały dzwony nieustająco pieśnią trwogi...

Nieprzyjaciel pokazał się w końcu Królewskiej. Na czele maszerowały bataliony piechoty, po nich szła jazda pod młodszym Igelströmem, potem znowu zwarte zastępy grenadyerów i w końcu oddziały kawaleryi Kaminiwa i kozacy. Dziesięć armat wielkiego wagomiaru toczyło się w odstępach batalionowych. Prócz tego każdy batalion posiadał jeszcze dwa działa. Naczelne dowództwo sprawował podpułkownik Klugen.

Kolumna pokazywała się groźna, przeszło trzy tysiące ludzi i szesnaście armat.

A cel mogli mieć tylko jeden: przeforsować przejście, oswobodzić Igelströma i zdobyć arsenał.

Czarna, brzemienna nieszczęściem chmura zawisła nad insurekcyą.

Wroński, stanąwszy na murze, pod osłoną brzoź, z perspektywą przy oczach, patrzył w moskiewskie wojska. Szalone myśli przelatywały mu przez głowę, obłądne myśli lęków. Przerazenie zjechało mu włosy. Szukał jakowegoś ratunku i nie znajdował. Pot zalewał mu oczy, dygotał cały i ledwie już się trzymał na nogach. Nadziei jednak nie tracił.

A kolumna niby rzeka płynęła z wolną całą szerokością ulicy. Żółte sztandary i znaki powiewały nad lasem bagnót, trójkątne kołpaki, kształtem biskupiej tyary, grały w słońcu mosiężnymi blachami. Ciężki, akuratnie mierzony krok tysięcy boleśnie odzywał się w jego sercu. Maszerowali spokojnie i w poczuciu własnej potęgi, przy warkocie bębnow, rzegocie brzękadeł, krzykach i śpiewach, wybuchających radosną falą głosów.

Ściszone odległością grzmoty armat z arsenału biły raz po raz, jakby do wtóru.

Mycielski przyleciał na naradę; trwała sekundy, zeterminowali bowiem jedno:

Bronić przejścia do ostatniego tchu.

Wroński, wytoczywszy armaty na ulicę, wyrzucił je w następujące szeregi. Otworzono jaszczce i kanonierzy stanęli z zapalonymi lontami na swoich miejscach. Konopka obsadził okna pałacowego pawilonu, kilkadziesiąt strzelb groziło z flanku. Mycielski z piechotą, przytający pod Saską Kuźnią, czekał stanowczej pory.

Wszyscy jakby skamieniali na stanowiskach.

Bitwa w tych okolicznościach przybierała postać bohaterstwa.

Trzecia wybiła z południa, gdy jakiś szwadron, wysforowawszy się naprzód, galopem ruszył na wywiady. Flankowy ogień z pawilonu przywitał go tak skutecznie, że straciwszy kilkunastu ludzi, zawrócił w największym popłochu.

Wroński gruchnął w ślad za nim z obu armat, a nim rozwiały się dymy, strzelił po raz drugi.

Kolumna osadziła się w miejscu, on zaś wraz z działami cofnął się w bramę, właśnie na porę, kiedy zagrały ciężkie baterie i jęły trzaskać salwy za salwami.

Bitwa się rozpoczęła, dziwna jeno i zgoła niepojęta w swoich obrotach i przebiegu.

Moskiewskie wojska pomimo miazdzącej przewagi następowały słabo, uderzały z wahaniem i zatrzymywały się z niewiadomych przyczyn. Raz po raz wybuchały dzikie wrzaski żołdactwa, grzmiąły tarabany, baterie zaczynały ryczeć i zwarte masy zrywały się gwałtownie z miejsca; lecz skoro Wroński zagadał kartaczami, a Konopka z okien pawilonu otwierał celny a rześisty ogień, cofali się na dawne miejsce w bezradnym popłochu. Wychodziło, jako nie wiedzą, co robić ze sobą. Bowiem niekiedy rozpoczęli karabinowy ogień i salwy za salwami siekły okoliczne

dachy, okna, domy i świstały w pustych ulicach. To znowu baterie waliły, aż ziemia dygotała i od miotów wichury brzozy pod murem pokładały się z jękiem i szumem. Wreszcie szarżowała kawaleria na bramę, kartacze Wrońskiego i niechybne strzały Konopki.

Wroński zaś z Konopką, profitując z takowych obrotów, chwytały w lot każdą okoliczność do skutecznego szarpania wroga. Wroński co chwila zmieniał stanowisko, bił zuchwale z czoła, strzelał z bramy, to sztrychował wzdłuż Królewskiej. Sam celował, sam zapalał i w potrzebie wraz z kanonierami przetaczał działa. Napadał, cofał się i krył za murami w miarę okoliczności. Rozpłomienioną walką, gardzący niebezpieczeństwem, ostrożny a zuchwały, baczny a napastliwy, w postanowieniach nagły i jak cios druzgocący, dawał obraz władnego, nieulekłego męstwa. Konopka nie ustępował mu w niczem, jeszcze przewyższał w błyskawicznych obrotach, bowiem na czele swoich obwiesiów, przemienionych w boju na falangę nieustraszonych rycerzów, rzucał się, niby żrący płomień. Spadał na wrogów szarpiąc ich, jak się tylko dało. Co chwila w innej stronie rozlegał się jego przeszywający świst. Strzelał z okien pawilonu. Grzmiał z dymników i dachów pałacowych. Raził celnie z poza drzew Saskiego Ogrodu. W ten sposób prowadzona walka przeciągała się długie godziny z niemalym uszczerbkiem dla Moskałów.

Dopiero koło szóstej, właśnie gdy pod arsenałem ucichły działa, Klugen zdecydował się na stanowcze działanie. Zagrzechotały bębny i armia ruszyła do ataku.

Wroński cofał się od bramy krok za krokiem, powstrzymując napierające masy kartaczami od czoła i flankowym ogniem Konopki. Schronił się do Brühlowskiego pałacu, nie przestając i stamtąd strzelać przez Saski Ogród w boki następującej kolumny.

Pierwsze bataliony, zdobywszy bramę i dziedziniec,

a nie dojrawszy nigdzie przeciwnika, rzuciły się na Saski Pałac z tryumfalnym okrzykiem zwycięstwa. Słabe strażniki elektorskie uciekły lub zostały wybite. Boczne pawilony, zarówno jak i sam pałac, zahuczały dziką wrzawą żołdactwa. Ustała wszelka dyscyplina i rozpoczął się rabunek. Nie pomogły komendy oficerów, ni nawet ich prośby i płazowania. Hordy jęły nasycać głód grabieży i zniszczenia. Zabrzęczały rozbijane szyby i oknami poleciały bezcenne farfury¹⁾, meble i sprzęty. Dobrano się wreszcie do podziemnych sklepów i tysiące flach i gąsiorów gasiło nienasycone gardziele. A gdy wytoczono smoliste beczki i antały, pijatyka stała się powszechna. Pito z flach i gąsiorów, pito kociołkami, pito prosto z beczek, pito z kałuż rozlanych — pito do ostatniego tchu, na śmierć.

Naczelne bataliony grenadyerów przemieniły się wnet w bezładne kupy oszalałego swywolą ultajstwa. Dzika, bełkotliwa i pijana wrzawa zatrzęsa murami. Już tu i owdzie zabrzęczały bałabajki²⁾. Ściany zdały się pękać od tłumów. Pijane żołdactwo rozbijało się w ciasnych przejściach, salach i antyszambrach³⁾ z rykiem burzy, ogarniętej wściekłością. Łamano wszystkie zapory i drzwi. Bito kolbami porcelanowe pająki⁴⁾. Roztrzaskiwano zwierciadła. Miażdżono butami kryształ i szkła weneckie. Chińskie wazy przyskały w tysięczne skorupy. Z furją obłukiwano farfurowe kominki. Przy wtórze wycia i śmiechów rozszarpowano gobeliny i obicia ścian. Przypuszczano zajadle szturm do konterfektów⁵⁾ i obrazów; piękne damy, króle, rycerze i święci, pocięci pałaszami, postrzelani, podarci bagnetem, wylatywali za okna. Niegdzie, na pawimentach⁶⁾ z różanego drzewa, dających obrazy najcudowniejszych kobierców, już rozpalano ogniska, podsycane szczątkami sprzętów. Karty

¹⁾ Naczynia porcelanowe. ²⁾ Rodzaj gitary. ³⁾ Przedpokojach.
⁴⁾ Świeczniki. ⁵⁾ Portretów. ⁶⁾ Podłogach, posadzkach.

ksiąg i kopersztychy¹⁾, porwane na strzępy, fruwały, niby stada motyli, w gryzących dymach, napełniających pokoje. Bagnet i kolba, pięście i nogi pracowały na wszystkie sposoby, pozostawiając za sobą jeno plugawą ruinę.

A uciecha sięgnęła szczytu, kiedy zjawiły się obozowe dziewczki, które wdwały się z wyciem na pokoje. Zabawa przybrała nowy obrót. Kilkunastu mołojców, złupiwszy szatnię elektorską, w perukach, złocistych frakach, kryzach i królewskich płaszczach puściło się w tany, wytupując wściekłego kozaka. Brzęczały do wtóru bałabajki, ryczały gamratki²⁾, biły kolby i puste gąsioro, a tłuszcz wyła wszystkimi głosami rozbestwionych bydła. Zasię w drugich salach, dokoła ognisk, na kanapach, poduszkach, stosach kobierców, roztasowywali się, niby na biwakach. Poszły z rąk do rąk świeże flachy i zaczęły śpiewać zwolna, miarowo, tęskliwie, a coraz ogromniej i rozgłośniej.

Wtem od Krakowskiego runął niezmierny okrzyk i jęły trzaskać atakowe salwy.

To Mycielski, ściągawszy, skąd się dało, nadmierną liczbę trąb, bębnow i kotłów, upatrzwszy stosowną porę, nakazał z całej mocy zagrznieć w instrumenta i równocześnie uderzył na resztę kolumny, stojącej w Królewskiej ulicy. Wsparły go kupy zbrojnych wolonterów.

Klugen, snać osądzając po okropnej wrzawie i furii ataku, jako ma sprawę z przeważającymi siłami, nakazał trąbić na odwrót. Odstępowali tak pospiesznie, że to wyglądało na ucieczkę. Niemalą tego przyczyną byli mordercy, którzy, ogarnięci ślepym popłochem, jęły uciekać z pałacu obłąkanymi stadami. Rozgniatano się na śmierć w ciasnych przejściach. Wyskakiwano oknami. Porzucano zrabowane skarby, porzucano nawet karabiny i patronata-sze, byle jeno unieść życie. Nawet spici do nieprzytom-

¹⁾ Ryciny ryte na miedzi, miedzioryty. ²⁾ Dziewki.

ności próbowali uciekać na czworakach. Powstał piekielny zamęt i naraz ryk rozpaczy wydarł się ze wszystkich gardzieli, bowiem Konopka, przedostawszy się od strony ogrodu, wsiadł im na karki, pędził przed sobą i wymiatał, ni-by plugawe śmiecie. Krew spłynęła schodami, bluzgała na stiukowe¹⁾ ściany, tryskała aż na sufity i formowała kaluże po salach. Zawiązały się krótkie a straszliwe zawziętością bitwy, gdzie już nie było pardonu ni miłosierdzia. Wycie rozpaczy, śmiertelne jęki, głosy błagań daremnych i ogłuszające tumulty walk, złane w jeden straszliwy chór, podnosiły się niekiedy aż do krwawych zórz zachodzącego słońca. Nim zapadł zmierzch, na pobojowisku pozostali jeno zabici, a gdzieniegdzie kwiliły żalosne, opuszczone głosy konających.

Na rozkaz Cichockiego, Wroński z Konopką popędzili z pomocą domom na rogu Miodowej i Senatorskiej, przeciwko którym Igelström, osaczany coraz ciaśniej i napierany ze wszystkich stron, wywierał całą złość, usiłując się tamtędy przerwać. Ale dom Teppera, pałac biskupów krakowskich, pałac „Pod gwiazdą“ i kamienica Roeslera, ukryte w chmurach dymów i zionące nieustannym ogniem karabinów, dawały postać fortalicji²⁾ niezdobytych. Słońce zaszło, mrok wypełnił głębokie kanały ulic, ale nie było mowy o śnie i odpoczynku. Warszawa trzęsła się od grzmotów dział. Bito się we wszystkich stronach miasta. Walczono z jednakiem męstwem. Walczono do upadłego.

NOC Z 17 NA 18 KWIETNIA.

O zmierzchu przycichły walki.

A w jakimś momencie noc zapadła i nieprzeniknione ciemności spowity Warszawę. Niebo zawisło kirem, prze-

¹⁾ Pokryte rzeźbami z gipsu. ²⁾ Małych twierdz, warowni.

bitym tu i owdzie jarzącymi gwiazdami. Ulice leżały czarne, puste i nieme. Ani jednego światła w oknach. Bezmiary niepokojących ciemności. Jeno gdzieś na krańcach zaczynały wschodzić łuny dalekich pożarów. W nieodgadnionych głębiach miasta wrzały niekiedy jakby bełkoty groźnie wzbierającego morza. Trwoga czaiła się w milczeniach ciemności. Zatrute tchnienia śmierci mroziły krew w żyłach. Przerażenie sunęło wskroś nocy z palcem na niemych, skamieniałych wargach. Niewiadome dygotało lękiem nawet w najmężniejszych sercach. Bowiem wszystek świat zdawał się być wydanym na łup złych mocy, nieszczęścia i ciemności.

Arsenał czuwał nad miastem. Odpoczywał po znojnjej pracy i zbierał siły — sposobił się na jutrzejszą ostatnią walkę. Obliczał straty i szykował nowe ciosy. Był znużony, a zarazem radośny pewnością zwycięstwa. Drzemał i trząsał się w gorączce przygotowywać. Milczał złowrogiem milczeniem chmury, brzemiennej piorunami.

Na kwaterze komendanta, we wszystkich izbach, na ławach, materacach, siennikach i prosto na podłodze, spali ciężko spracowani oficyerowie. W ostatniej, najobszerniejszej stancyi sam generał Cichocki spał na polowym łożu rozciągnięty, stary Deybel drzemał z głową na okiennym parapecie; spał, kto uchwycił sposobną porę.

Chomentowski ze sztabem i kancelaryą pracował nie-strudzenie. Gotowano plan generalnego ataku na Igelströma. Cichocki, budzony co chwila pytaniami, rzucał jakieś uwagi, momentalnie potem zasypiając. Nieustannie napływały wiadomości z miasta; leciał z niemi jakiś żołnierz, przeskakując rozciągniętych pokotem, skradał się lęklwie jakiś Żyd, dreptali zakonnicy, przychodziły kobiety i wyrostkowie. Kubicki przy osobnym stole pod oknem, w świetle stajennej latarki, wybadywał wszystkich, skrzętnie konotując.

Niekiedy wpadał Maignan, leib-chirurg, w białym, srodze zakrwawionym fartuchu, przynosząc wieści o konającym z ran Tiszczewie i drugich. Wypalił lulkę, napił się czarnej kawy i zasięgnąwszy języka o stanie spraw, powracał do opatrywania rannych.

Niekiedy przewiał Dobrski burzliwym wichrem i porwawszy kogoś ze śpiących, pędził w głąb arsenału do robót, prowadzonych z gorączkowym pośpiechem.

Chomentowski co pewien czas krzyczał jakie nazwisko i natychmiast zrywał się z podłogi któryś z oficerów, przecierał oczy i odebrawszy rozkazy, wybiegał na łeb na szyję.

W pewnych odstępach czasu pojawiał się kuchta z ogromnym imbrykiem czarnej kawy, rozlewając ją akuratnie w przeróżne garnuszki, porozstawiane po stołach i parapetach.

Na wszystkie strony słyszeć się dawały bicia młotów i ciężkie odgłosy robót. Wzmacniano popękane mury, stęplowano sklepienia, wspierano belkami zagrożone ściany, barykadowano wyłomy. Arsenał bowiem dawał postać groźnego pobojuwiska. Na każdym kroku pełno było śladów zjadłej walki. Porysowane ściany, odpadłe tynki, wywalone okna, pozapadane sufity, stopy gruzów i osmalonych belek, kupy strąconych dachówek, podarte dachy, że gwiazdy zaglądały do środka, miejscami drabiny miasto schodów na piętra, krwią obryzane mury, czerepy granatów pod nogami, połamane bronie i strzepy łachmanów. A wśród tych szczątków pełno żołnierzy różnej broni, wolonterów, kobiet i nawet dzieci. Karabiny w kozłach pod ręką, armaty w zaprzęgach i cugi w pogotowiu i straże gęsto porozstawiane. W pierwszym i drugim dziedzińcu paliły się ogromne ogniska, kręgiem w czerwonych blaskach i dymach rozkładali się żołnierze. Spali, jedli, przepijali gorzałką, grali w karty na bębnach i torbach, odmawiali różańce, a z jakiegoś kąta głośiły się nawet ściszone, junackie

piosenki. Wielu porozciąganych plecami do ognia chrapało w najlepsze. Kotły przystawione do ogniska parowały smakowicie, bowiem racye wydawano nieustannie, że w różnych stronach wciąż dzwoniły kociołki. Przy ogniskach, strzelających raz po raz żywszymi płomieniami, pokazywały się twarze srodze uznojone, często zakrwawione mi szmatami obwiązane, często śmiertelnie blade i jakby zastygłe w bojowej zapamiętałości, groźne i zarazem pełne skupionego męstwa i powagi. Owdzie ktoś rozповідаł swoje bitewne przewagi z ferworem, przymuszającym do słuchania. Opatrywano sobie rany co lżejsze. Myto się i chędożono rynsztunki. Od strony artyleryjskich warsztatów zgrzytały niekiedy taczalniki, ostrzące szable i bagnety.

Jakieś kobiety, tające się po ciemnych kątach, szlochały niekiedy rozpaczliwie.

A czasem wśród ciżb, mrowiących się dokoła, przelatywało jakieś wypomniane imię.

Zabity! Ciężko ranny! Zdały się odpowiadać żałosne echa; ścichały wtedy rozmowy, rwały się głuche westchnienia i oczy leciały w stronę trzeciego dziedzińca, przemienionego na lazaret. Brama była zawarta i straż broniła tam przystępu.

Pod niskimi szopami, w obszernych kuźniach i prosto pod niebem na ziemi, przytrząśniętej słomą, czerniały długie zagony, pełne krwawych snopów śmiertelnego żniwa. Latarnie, przyczepione do ścian, nieciły żółtawe, blade kręgi światła, w których wszystko zdawało się jeno być majaczeniem. Groble człowieczych łachmanów drgały, krzyczały strasznie w przerażających skrętach i dygotach. Niekiedy, niby upiór, jakaś twarz, napiętnowana śmiertelną męką, wynurzyła się z ciemności. Ktoś porywał się z barłogu i opadał z jękiem. Ktoś jeszcze w szale bojowym walczył, ruszał się na wroga i krzyczał. Ktoś rozdzierającym głosem przyzywał matki. Większość jednak, niby pocięte kłoce,

leżała bezwładnie, wpatrzona zamierającymi oczami w dalekie migoty gwiazd i bezkresy ciemności.

Ks. Jelski z sakramentami, w komży i z chłopcem, niosącym zapaloną gromnicę, snuł się po tem krwawem polu, niby białe widziadło, roznoszące ukojenie i nadzieje. Błądziły za nim ślepnące oczy, szły ostatnie westchnienia, zrywały się wołania i wyciągały ręce, jakby z głębin przepaści. Coraz to w innej stronie brzęczał dzwonek, spływały słowa przebaczeń, gromnica przechodziła z rąk do rąk i jakieś dusze, syte żywota i jak ten płomyk drgające, zrywały się do odlotu. Noc je zbierała w miłościwe ramiona i niesła nieskończonościom.

Pod arsenalem natomiast panowała sroga dyscyplina i żelazny spokój. W szerokim kręgu, w ulicach i na placach, biwakowały piechoty, działa i jazdy, gotowe na każdą okoliczność. Stały niedojrzane, bowiem wzbroniono rozpalać ogniów, że jeno gdzieniegdzie żarzyły się lulki. Zasię z pod murów i fos dobywały się błyskania światełek i ciche szepty. Bractwo „Miłosierdzia“ w czarnych kapuzach i maskach oczyszczało z trupów pobojowisko. Długie wozy, nakryte płótnami, o kołach obwiniętych słomą, ruszały w stronę Mylnej. Żałosne skomlenia i płacze kobiet, wlekących się za nimi, rozdzierały powietrze, porывał je wiatr, dorzucając do głośniejących coraz potężniej zgiełków tej nocy wielce swarliwej.

Dochodziła północ i mimo ciemności, pustych ulic i domów jakby wymarłych, ze wszystkich stron rwały się odgłosy tumultów i strzelaniny. Wybuchły nagle jakieś dzikie tętenty, wrzaski, pogonie i huki. Niekiedy grzmiały dalekie armaty: to Poniatowski strzelał z pod Prochowni na pruskie stanowiska. Chwilami zaczynały bić gwałtownie dzwony, wzmagaly się zgiełki, warczenia bębnow, szczęki broni, jakieś ryki, niewiadomo skąd. Groza krzyczała w rozkrwawionych ciemnościach, zwłaszcza iż całe śródmieście

otaczał wieniec pożarów. Nad Leszmem szalała zawierucha płomieni. Krwawe łuny podnosiły się nad Grzybowem. Czerwone zorze, przysłaniane dymami, wschodziło nad Favorami. Paliło się też na Nowym Świecie i na Solcu gorzały śpichrze Potockiego. Niepokój wzrastał z minuty na minutę. Łuny sięgały brzaskami aż na Krakowskie, gdzie z racyi bezpieczeństwa od kuli i Moskalów ruch panował ogromny i dosyć gęsto paliły się biwakowe ognie. Obsiadali je żołnierze, wolonterzy i całe tłumy ludu, nie potrafiącego usiedzieć na swoich kwaterach. Bramy kamienic stały otworem, długie, czarne sienie były napchane. Nikt nie zasnął tej strasznej nocy. Wynoszono żołnierzom gorzałkę, a w niektórych parterowych mieszkaniach przygotowano stoły, suto zastawione, dla każdego zbrojnego. Po sieniach, przy świetle latarń i pochodni opatrywano rannych. Ustępowano im chętnie własnych mieszkań i łóżek. I kościoły na Krakowskim stały otwarte; przed ołtarzami w posępnych mrokach naw, rozświetlonych jeno odbłaskami pożarów, całe rzesze modliły się o zwycięstwo, koily się strapione dusze i płakały osierocone serca, zasię po kruchtach i korytarzach spali znużeni żołnierze. A wszędy mimo zwycięstwa pierwszego dnia insurekcji panowała głęboka powaga i jakby modlitewne skupienie. Z niemałym lękiem spoglądano w nadchodzące jutro. A noc zdawała się nie mieć końca. Godziny wlekły się żółtym krokiem udręczeń i niepokojów. Bowiem zaraz z północy, gdy niebo nieco pojaśniało i roje gwiazd rozpełzły się w bezmiarach, miastem jęły znowu wstrząsać febryczne dreszcze walki. Straszliwe wrzaski, odgłosy bitwy z nad Wisły, z pod łazienek Kwicińskiego, w których się zamknął major moskiewski Mayer z armatą i dwiema kompaniami, broniąc się do upadłego, rotowe salwy, tylko jeszcze rzesistsze i bliższe z Miodowej, częste „hurra“ Moskalów, rzucających się raz po raz do szturmów, pożary, wzbierające krwawem morzem

płomieni, bicia dzwonów, przemarsze insurekcyjnych oddziałów, lecących biegiem na nowe stanowiska, gorączkowe fortyfikowanie domów niektórych, głuche bicia oskardów, wyrębujących strzelnice, niezrozumiałe komendy, niewytłomaczone popłochy, ogarniające mieszkańców, potworne bajdy, rozsiewane niewiadomo przez kogo, tajemnicze ognie rakiet, wytryskujących ze świstem z pałacu Igelströma, głuche turkoty przetaczanych armat, korowody wozów przepelnionych trupami, sznury przenoszonych rannych, ciągłe wybuchy kobiecych lamentowań, mordy i rabunki w bocznych ulicach, popełniane przez moskiewskich maruderów, groźna postawa i wybryki pospólstwa — wszystkie owe ewenty ¹⁾ tej strasznej nocy dawały sytą strawę sercom lękliwym, przepelniając je bezgranicznem przerażeniem, jakoby zbliżanie się nieubłaganego, ostatecznego sądu godziny.

A już szczególniejszy strach padł na zdeterminowanych przeciwników insurekcji.

Adherenci ²⁾ Moskwy i króla pruskiego talarów, Targowiczanie, podli egoiści, poczcwicy, wyznawcy złotego środka, spokoju i ciepłego przypiecka, dygotali pozamykani w mieszkaniach.

Cała maszyna Rzeczypospolitej z pierwszym wystrzałem insurekcji została powstrzymana. Zamknięto wszystkie urzędy. Wszystkie funkcje zostały tknięte paraliżem. Nawet Rada Nieustająca³⁾ nie dawała znaku życia, bowiem jej członkowie, odcięci od świata, przerażeni niespodzianymi wypadkami, oczekiwali z biciem serca rychłego zakończenia zawieruchy. Nie sposób się im było skomunikować ze sobą, gdyż pachołkowie najwierniejsi, powysyłani z listami, zbiegali do insurekcyjnych szeregów. Warty, strzegące

¹⁾ Wyniki, przebieg. ²⁾ Stronnicy. ³⁾ Tak zywana Rada Nieustająca była utworzona za Stanisława Augusta i składała się przeważnie z osób ulegających Rosji.

ich kwater, złączyły się z powstaniem, poszły za głosem powinności. Błady strach zadygotał po pałacach Jaśnie Wielmożnych, zdanych na łaskę i niełaskę szalejącej rewolucji. O ucieczce z miasta niepodobna było marzyć. Rogatek strzegli insurgenci, a zresztą brakowało koni, zabranych na potrzeby wojny, i zabrakło służby, że pozostali opuszczeni w złoconych, cudnych kłatkach swoich apartamentów, otoczeni przepychem kobierców, ścian, sprzętów, farfurów i bronzów, ale głodni, bezradni, oczekujący kary z rąk wzburzonego pospólstwa, przepływającego z gniewnym pomrukiem pod ich pozastanianiami oknami. Męką im był dzień upłyniony, lecz okropnością stawała się ta długa, piekielna noc. Trawili całe godziny z uchem wytężonem na każdy odgłos, płynący z miasta, przeświadczeni z początku, jako ta haniebna rebelia ¹⁾ przy pomocy wojsk alianckich ²⁾ zostanie zgnieciona w ciągu niewielu godzin; ale skoro dzień zakończył się zwycięstwem insurgentów, prysnęły słodkie nadzieje. Zasię następująca noc doprowadziła ich do szaleństwa. Przychodziły do pamięci wszystkie krwawe praktyki francuskiej rewolucji. Już wzburzone imaginacje ³⁾ widziały po placach i ulicach wyrastające drzewa szubienic. Każdy tłum zdawał się groźnie zmierzać w stronę ich pałaców. Bojowe tumulty ⁴⁾ odbijały się w ich sercach gromami szturmów i mordów. Krzyki zwycięstwa były zwiastunami niechybnej śmierci.

Co się musiało dzieć w ich duszach, wypowiedzieć niepodobna.

Ile zrobaczywiałych dusz posłyszało nagle głos sumienia! Ileż bezmiernych szamotań z własnem sercem! Ile dumnych protestów! Ile bezsilnej rozpacz, gniewów i zdeptanej pychy! Jakże morza wzgardy do rozpasanego

¹⁾ Bunt, powstanie. ²⁾ Sprzymierzonych, t. j. rosyjskich i pruskich. ³⁾ Wyobraźnia. ⁴⁾ Wrzaski.

i tryumfującego motłochu! A ileż z tej przyczyny zdumień, głębokich podziwów, straszliwych żalów, okropnych kajań i ponad wszystko straszniejszych przewidywań! Świat walił się im na głowy. Ziemia zapadała się pod stopami. Śmierć wyła ze wszystkich stron, porywały rozszrungowane od męty. Odwieczne krzywdy wyciągały po nich nienasycone pazury, a mściwe furye smagały piekielnymi biczami strachów, upokorzeń, zgryzot i niemocy. I prawie żadnej nadziei ocalenia, że niejeden, odchodzący już od zmysłów z nieskończonego wyczekiwania, przebierał się w najlichszą odzież własnej służby i wymknąwszy się na miasto, szukał schronienia po klasztorach lub waleśał się po ulicach wraz z tłumami.

Nie lepiej działo się i na Zamku.

Król, opuszczony od wojska i dygnitarzów, w asyście jeno sióstr, pani Grabowskiej, Ryksa, Kicińskiego i kilkunastu najwierniejszych, pozostawał w strasznej niepewności. Był jeno niemym i dalekim świadkiem tragicznych wypadków. Nikt nie przychodził do niego po rady, nie żądał rozkazów, ni prosił o pozwolenia.

Jego majestat stał się nikłym cieniem, a odebraną władzę naród powierzył Kościuszce.

Jeszcze dzień przeszedł mu jako tako, gdyż utrzymywał z miastem stosunki za pośrednictwem Mokronoskiego i paru zaufanych; wysyłał listy do Igelströma przez Byszewskiego, pisywał do Prymasa ¹⁾, starał się porozumieć z przywódcami powstania, zasięgał jakichś wiadomości w ambasadzie angielskiej, coś działał, o coś zabiegał, coś usiłował zawiązywać; ale z nastaniem nocy, skoro Kiliński zajął swoimi ludźmi wszystkie zamkowe wyjścia, komuni-

¹⁾ Najwyższy dostojnik Kościoła w Polsce, arcybiskup gnieźnieński; prymasem był wówczas brat króla, Michał Poniatowski.

kacje przerwały się zupełnie. Obywatele nie przepuszczali nikogo.

Obrażony król zamknął się w swoich apartamentach. Snuł się po komnatach, niby echo czegoś, co już bezpocześnie umierało. Nie przerywano mu tych dumań samotnych.

Marcin Zakrzewski, uzbroiwszy służbę i paru paziów, obsadził nimi od środka wszystkie wyjścia z królewskich pokojów i sam stanął na straży w głównej kordegardzie ¹⁾.

Ponury był, jak noc, i rozżarty na cały świat. Jakże? Rozumiał, jako prędzej da się porąbać, niżli odstąpi królewskiej osoby. Miał to za najświętszą powinność serca. Lecz nasłuchując grzmotów dział i odgłosów walki, cierpiał niewysłowione męczarnie. Tam walczyli jego przyjaciele i towarzysze, lali krew za ojczyznę i zwyciężali bez niego.

Biegał po kordegardzie, niby wilk, zamknięty w klatce i szalejący za wolnością.

W złocene podwoje grzmotnęły jakieś pięście, gwar się podniósł za drzwiami, dobijały się straże Kilińskiego. Peño ich było w salach, po korytarzach i schodach.

Otworzył gwałtownie, z obnażoną szablą w rękę; gniew nim miotał, ledwie się hamował.

— Czegóż obywatele sobie życzą? Król o tej porze audyencyi nie udziela!

Stropili się na chwilę, cofając przed jego gniewnym wzrokiem i gołą szablą.

— Właśnie chcemy zobaczyć króla jegomości! — wystąpił jakiś drab ogromny.

— Powiedziałem, jako nie pora! — huknął, zatraskując im drzwi przed nosem.

¹⁾ Izba żołnierska na odwachu.

Ale król, posłyszawszy rozmowy, wyszedł z łaskawym pytaniem, czego im potrzeba.

Podjejmowali czapy i kapelusze, opuścili pałasze i strzelby, a ten sam drab przemówił:

— Kiliński przykazał nam strzedz Waszą Królewską Mość, żeby, broń Boże, nie stało się co złego, jako że to o przypadek w tym rozruchu nie trudno.

— I nakazał pilnować, żeby król nie uciekł do Moskalów — dodał któryś otwarcie.

— Nie kręć szyją, kiedy do cię nie piją — powiadł na niego groźnie dowódca.

— Powiedzcie Kilińskiemu, że król zawsze idzie z narodem, a nie z jego wrogami.

Powiedział łzawo i przesmutnym głosem. Twarz wyrażała ciężką troskę i ból.

— Najjaśniejszy Panie! My nie przeciwko twojej osobie! — bąknął dowódca, obcierając tkliwe łzy.

Król wyciągnął do niego dłoń; ucałował ją ze czcią i namaszczeniem, jakby patynę, za nim uczynili to wszyscy po kolei, cofając się tyłem do wyjścia i kłaniając mu się do nóg.

Zakrzewski, otworzywszy naroścież okno, wykrztusił przez zaciśnięte zęby:

— Aż dech zapiera od tych obywatelskich fetorów! ¹⁾

Król, skinąwszy mu głową, powrócił do siebie. Spacerował z komnaty do komnaty. Czasami patrzył w noc rozkrwawioną pożarami. Nasłuchiwał odgłosów walk, to coś pilnie konotował. Musiał strasznie cierpieć, bo wyglądał, jak zdjęty z krzyża; niekiedy ocierał łzy, łamał ręce i ciężko, żałośnie wzdychał. Pokoje były oświetlone słabo, zaledwie tu i owdzie zapalona świeca rozjaśniała mroki, że wydawał się w nich podobniejszym do widma,

¹⁾ Smrodów.

niżli do człowieka. Błady, traicznie zasępiiony, samotny i opuszczony, dygocący za każdym głośniejszym wybuchem strzałów, dawał obraz człowieka gonionego przez furię. Niekiedy zabierał się do czytania i odrzucał książkę. Próbował stawiać pasyanse i nie wyłożywszy jeszcze wszystkich kart, zapominał o nich. A że już chodzić nie miał sił, a wysiedzieć na jednym miejscu nie potrafił, szedł do ciemnego pokoju od strony dziedzińca i przyglądał się ogniskom, przy których biwakowały stráže. To patrzył w ciemne okna kwatery hetmana Ożarowskiego, a najwięcej ciągnęły mu oczy oświetlone pokoje sejmowych kancelaryi, gdzie zakwaterował się generał Mokronoski.

Ryks, znalazłszy się przy jego boku, zaszeptał do ucha:

— Najjaśniejszy Panie, tam zebrali się najznaczniejsi obywatele, należący do spisku, z Wyssogotą Zakrzewskim na czele. Z polecenia Kościuszki mają formować Rząd Tymczasowy.

— I bez porozumienia się ze mną! A tak mi obiecywał Mokronoski! — jęknął cichutko i powrócił znowu do swoich królewskich komnat, do okropnych rozmyślań, do coraz piekielniejszych udręczeń i do zajadłej, nieubłaganej walki z własnym sumieniem.

— Z polecenia Kościuszki! A ja? — niewystłowiona gorycz zadźwięczała mu w głosie.

Jakby w odpowiedzi, z łazienek Kwiecińskiego zagrziała armata, że zatrzęsły się zamkowe mury i jakieś zwierciadło runęło mu pod nogi, rozbryzgając się na sieczkę. Oskoczył w zabobonnej trwodze i zaczął wołać na Zakrzewskiego. I już go nie puścił od siebie.

Tymczasem wojska i zbrojny lud gotowały się gorączkowo na jutrzejsze walki.

Na Podwalu głębokiem i ciemnem, niby górską rozpadlina, pracowano bez wytchnienia.

Mycielski, objąwszy dowództwo nad kompaniami prze-

znaczonemi do szturmowania ambasady, czynił rozległe przygotowania. W domach, stojących naprzeciwko pałacu, przebijano ściany dla wewnętrznych komunikacji i wydłubowano w murach liczne strzelnice. Najcelniejsi strzelcy zajęli wszystkie okna, nawet dymniki i dachy. Po sieniach gromadzono drabiny. Znoszono bosaki do rozrywania ścian i dachów. Ściągano olbrzymiej grubości kłocze, jako tarany do rozbijania bram i murów. Kłęby pakul i szmat, namoczone w rozpuszczonej żywicy, wynoszono na strychy, aby je zapalone rzucać na dachy pałacu. A wszystko odprawiało się w milczeniu, bez szmerów, prawie bez oddechów, gdyż wróg czuwał i od czasu do czasu strzelał w ulice raketami, aby je nieco rozświetlić. Rozpocząła się wtedy wzajemna strzelanina i powstańcze bębny biły do ataku. Ale alarmy były fałszywe i na nich się tylko kończyło. Niemniej gorączkowo przygotowywano się w kręgu, zatoczonym dokoła Miodowej. Fortyfikowano niektóre domy, barykadowano wyloty ulic, ubezpieczano się rowami przed jazdą, sypano szanczyki pod działa, bito strzelnice, zasłaniano worami piachu okna i drzwi, ściągano amunicję, gromadzono nawet po kamienicach zapasy wody na okoliczność pożarów, że zanim noc zbieleła, już wojska i lud zbrojny czekał na wyznaczonych stanowiskach. Objeżdżał je Cichocki, wydając ostatnie polecenia i rozkazy. Męstwa zalecać nie potrzebował. Mycielski z niektórymi kompaniami swojego regimentu miał szturmować ambasadę. Kiliński, wzmocniony żołnierzem municypalnym, prowadził na Gdański dom i kamienice, wychodzące aż na Miodową. Ropp dowodził uderzeniem od Długiej. Odzyskany dom Latoura i teatr narodowy objął major Górski przy pomocy wolontierów Rutkowskiego. Od strony Świętojurskiej brały stanowiska gwardye piesze i lud Sierakowskiego. Ogród Krasińskich wzięły pod armaty arsenał wraz z odcinkiem Długiej i Bielańskiej. Od Tłomackiego, Mennicy i Dani-

łowiczowskiej szedł Kosmowski z gwardyą Mirowską i oddziałami Kriegera. Marywilu strzegł pułkownik Zieliński, zbuntowane szwadrony ułanów Koeniga i spora kupa Żydów pod Berkiem Joselowiczem. W Koziej stanął Wroński, usypał poprzeczny szaniec i wciągnawszy na niego swoje sześciofuntówki, strzelał raz po raz w Miodową. W asekuracji miał kompanię pontonierów i drugą Działyńczyków. Zasię część niezbyt rozległą, lecz może najcięższą, bo dom Roeslera, pałac „Pod gwiazdą“, pałac biskupów krakowskich i kamienice Teppera otrzymał Zaręba...

DZIEŃ 18 KWIETNIA.

Dzień podnosił się posępny, bez słońca. Niebo zwiślało niskie, jakby zadymione. Miało się na odmianę i zdawało się grozić deszcz. Powietrze przejmował surowy zapach krwi, prochu i spalenizny. Wysoko zaledwie dojrzalne kołowały stada kruków i wron.

Na pobojożywkach, pełnych trupów, zakrzepłych kałuż, zbuczonych szmat i człowieczych szczątków, bez nadziejna rozpacz załamywała ręce. Gromady kobiet szukały swoich najbliższych. Śmiertelnie znużone i wylękłe, błękały się niby nieukożone tęsknoty, niby echa niezgastej jeszcze nadziei. Niegdzie pod murami, w białych świtaniach, zwiastowały się posągami skamieniałej boleści, z głowami zabitych synów, mężów i ojców na kolanach. Jeszcze lały się łzy, jeszcze dusze umierały z niepokoju, jeszcze sieroce dole żebrały zmiłowania na progach kościołów, a nad niepogrzebanymi krakali krukowie...

A już nowa burza wzbierała w mrocznych i ciasnych ulicach; od jej podziemnych porykiwań dygotała ziemia i trwożniej biły serca. Głuche pomruki przewalały się w przestrzeniach. Huragan zdawał się jeszcze szamotać z własnymi pętami. Zawiewały ogniste powiewy. Czasami grom wstrząsał jakby odgłosem straszliwych stąpań

śmierci. Krew biła w skroniach młotami. Gorączka przepalała serca. Porywało bojowe uniesienie. Zaludniły się mroki. War szeptów przesycił ciemności. Miarowe, głucho kroki maszerujących oddziałów dudniły ze wszystkich stron. W głębiach ulic połyskiwały lasy bagnatów i płynęły krwawe płachty sztandarów. Ciche warkotania tarabanów, sygnałowe trąbki, komendy, szczęki żelaza, płonące oczy i zwarte na kamień twarze ogłaszały zbliżające się chwile bojów.

Aż porwała się straszliwego majestatu pieśń niebo-siężna, zaśpiewały ją wszystkie armaty, wszystkie karabiny i wszystkie piersi. Runęły na siebie wrogie moce. Rozpoczął się generalny atak na Igelströma, uwięzionego ze swojemi wojskami w ulicy Miodowej.

Pierwszy wystąpił Mycielski. Kompanie Działyńczyków, prowadzone przez Sypniewskiego, Ulanickiego i Urbanowskiego, wraz z ludem pod wodzą Kilińskiego, przypuściły gwałtowny szturm do ambasady od strony Podwała. Mroczna o świtaniu ulica tak się była zaciemniła, że nie dojrzał nad błyskawice piorunów. Przerażliwe wrzawy i huki strzałów uderzyły w niebo.

Pałac bronił się nadspodziewanie. A przytem górowali lepszą sytuacją miejsca i odstoniętymi stanowiskami. Ambasada bowiem stała w głębi obszernego dziedzińca, przedzielonego od ulicy żelazną kratą na wysokiem podmurowaniu, zabezpieczona stosami drzewa i kamieni, tylko dwa boczne pawilony dosięgały szczytami ulicy. Przyjęli też atak rżęsimym, rotowym ogniem, bijącym ze wszystkich pięter. Każde okno zionęło śmiercią. Strzelali nawet z piwnic i z poza krat. Mordercza ulewa lała się na szturmujących z taką siłą, że powstańcy, straciwszy sporo w zabitych i rannych, przymuszeni byli cofnąć się na boki, pod osłonę murów. Ale pokrótce atakujące fale powróciły i niepomne na śmierć i rany, uderzały bez wytchnienia i z coraz większą uporczywością i furją.

Ciasnota miejsca nie dawała przystępu armatom, więc pod najstraszniejszym ogniem rąbano mury, bito w kraty kłocami rozbujanymi na linach, miotano na dachy zapalone maźnice i pęki pakuł, wdzierano się na sztachety i każde nieprzyjacielskie okno było zasypywane huraganami kul.

Walka się przeciągała, Moskale bronili się z szaleństwem rozpaczy.

Nie udał się również nagły napad na Gdański dom, broniony przez Baura, ni szalona próba Kilińskiego przedarcia się w Miodową przez pałac Chodkiewiczów. Wszędzie napotkano na potężny odpór. Ale pomimo tego walka wzmagala się z minuty na minutę. Bito się już na wszystkich punktach i ognista obręcz zaciskała się coraz mocniej.

Grzmiały armaty na Długiej i od Senatorskiej. Ciężkie działa arsenału wzięły pod ogień ogród i pałac Krasieńskich. Od strony Daniłowiczowskiej przedzierał się do klasztoru Kapucynów Kosmowski z ludem Kriegera. Zaręba ze swoich stanowisk na rogu Miodowej otworzył regularny ogień, zasię bateria z Koziej nie traciła darmo ani jednej kuli, sztrychując Miodową, zapchaną nieprzyjacielskimi wojskami.

Igelström, snadź zwątpiwszy w zwycięstwo, postanowił za każdą cenę przedostać się w Nowiniarską i dalej do Marymontu, gdzie oczekiwały pruskie wojska. Przeto o dobrym dniu, pozostawiwszy bataliony Parteniewa na obronę ambasady i powstrzymywanie insurgentów, zabrał na wozy najważniejsze archiwa, cały sztab i z pozostałemi siłami, torując sobie drogę armatą, uderzył z dziedzińca Krasieńskich. Uderzył i rozbił się o nieprzełamany mur gwardyi pieszej pod majorem Milfortem, wolonterów Sierakowskiego, Rutkowskiego, zbrojne kupy pospólstwa i baterye Roppa. Spróbował po raz drugi, ale i po raz drugi zwarte i karne szeregi rozprysnęły się, niby fala o granitowe wybrzeża. Zaczem rzeźnicy Sierakowskiego, zuchwałę bykokłuje, zbroj-

ne jeno w kosy, piki i długie noże, rzucili się na idących w rozsypce Moskalów, sprawiając im taką krwawą łaźnię, że gdyby nie ich ucieczka i zasłona kartaczów, nie uszła-by może ani jedna żywa noga.

Igelström znowu powrócił w Miodową z całym sztabem i taborem, żołnierze pokryli się w domach i dziedzińcach przed kulami Wrońskiego, nieustannie orzącymi ulice. Po dłuższej przerwie generał Pistor, sformowawszy przy pomocy nahajek i gorzałki potężną kolumnę, pchnął ją gwałtownie na domy, zasłaniające przejście w Senatorską.

Ze strasliwym wyciem runęło pijane żołdactwo i w pierwszym impecie zdobyli dom Teppera i pałac biskupów krakowskich, poczem z tem większą zapalczywością uderzyli na kamienicę Roeslera. Powstał piekielny chaos. W czarnych dymach, przecinanych ulewami wystrzałów, wiły się jakoby gromady potępieńców. Ziemia zadygotała od grzmotów. Uderzali w domy wściekłymi ciosami taranów.

Kartacze Wrońskiego szarpały ich z prawego flanku, zaś z lewego, od Krakowskiej bramy, Strzałkowski prażył celnym ogniem, Woyna zasypywał od czoła gradami kul, walił rwanemi ze ścian cegłami, szczątkami sprzętów, resztkami posadzek i pułapów. Nie pomogło. Padali setkami, a tratując zabitych i rannych, pijani gorzałką i mordem, oślepli, głusi, nieprzytomni, darli się naprzód niczem niepowstrzymaną lawiną. Dopadli wreszcie murów; pod uderzeniami kolb, toporów i ramion wyleciały bramy i okiennice, wszystkie zapory rozsypały się w gruzy; wdarli się do kamienicy z wyciem rozjuszonego stada...

Insurgenci, niby górski potok, spadali na podnoszące się w górę ciżby, spychając je samą siłą uderzenia i ciężaru. Zdobywali stopień za stopniem. Krew lała się strugami ze schodów. Trup padał gęsto. Ranni ginęli w tłokach i pod nogami. Chwilami ryk bryzgał w powietrze wraz z fontannami krwi. Nie było nic słyhać nad trzaski

rozwalonych czerepów, świsty szabel, dzikie skowoty miazdzonych stopami, zgrzyty żelaza, syczące oddechy i rżężenia duszonych gardzieli, a chwilami jeno głuche uderzenia kolb, jakby nieustające bicia cepów.

Zdobyli sobie przejście, podwoje pierwszego piętra stały otworem, ocalenie było już za plecami, kiedy Moskałe, wzmocnieni sukursami, rzucili się za nimi na pokoje...

W tej samej właśnie porze rozległy się salwy w podwórzu i wrzaski.

Przybywała pomoc. To Zaręba po klęsce w domu Teppera, zebrawszy rozprószonych żołnierzy i pochwyciwszy Wrońskiemu asekuracyjną kompanię Działyńczyków, przedostał się do kamienicy Roeslera od strony Krakowskiego, grzmotnął salwą i wtargnąwszy w podwórze, rzucił się z bagnetem na stłoczonych Moskalów. Rozbił ich w mgnieniu oka, stratował, wepchnął w bramę i posiekawszy, co się dało, wyrzucił na ulicę. Oczyścił cały dom z plugastwa, nakazując trupy powyrzucać oknami na głowy uciekających, a oswobodziwszy oblężonych, niby trąbą powietrzną, runął w Senatorską, gdzie wzmocniony ludem z Marywilu, ogarnął skrzydłami połamane szeregi, spędził je w Miodową, niby stado oszalałe w popłochu, i wsiadłszy im na karki, pognął, siekąc i tępiąc bez miłosierdzia.

W niepohamowanym impecie odebrał pałac biskupów i wdarłszy się w dom Teppera, zapchany żołnierstwem, rabującym składy masy pozostałej po Kabricie, wycinał w pień...

Armaty Wrońskiego w mierzonych odstępach czasu strzelały kartaczami. Grady kul moskiewskich trzaskały w mury, zasypując klęczących gruzami odbitych tynków. Gryzące czarne dymy zapychały wązką uliczkę. Dziki chaos walki przewalał się nad ich głowami. Nie wiedzieli o niczem, jeno Ojciec Serafin, modlący się żarliwie, strzygł niekiedy uszami, podnosząc zarazem oczy, jakby na świsz-

czące górą kule, a chwilami nie mogąc pohamować swojej natury, porywał karabin, biegł na szaniec i strzeliwszy w skłębione kupy wrogów, powracał do przerwanych pa-cierzów. Zasię w chwili, w której Zaręba wdarł się do domu Teppera i armaty przycichły, aby nie razić swoich, mnich, jak był ze stulą na szyi, a karabinem w rękę, po-pędził do bitwy i już nie powrócił. Toczyła się bowiem walka o klasztor Kapucynów, zapamiętałe broniony przez Moskałów, a jeszcze zajadlej szturmowany.

Dochodziło południe i słońce ukazało się blade, ledwie dojrzone w chmurach i dymach bijących z ziemi, gdy na Podwalu jęły się rozgrywać nieprzewidziane wypadki.

Z okien ambasady powiały białe chorągwie: ustały strzelaniny i dano poznać, jako Igelström wysyła na Zamek parlamentarzy, mających traktować o warunki kapitulacji.

Mycielski, zawiesiwszy również ogień, przepuścił ich pod eskortą całej kompanii.

Pertraktacje ¹⁾ trwały dosyć długo: Raz po raz prze-jeżdżali wysłańcy ambasadora, to Mokronoski z Wyssogotą Zakrzewskim i paru obywatelami, na co lud srodze szemrał, obawiając się jakowegoś podstępu i zdrady. Ale na wieść o pertraktacjach bitwa na całym obrębie przy-cichła. Nikt jednak broni nie wypuszczał z ręki, a prze-różni obywatele z podmowy Konopki jęli wicherzyć pomię-dzy tłumami, że już nie w jednym miejscu dawały się sły-szeć gwałtownie wykrzykiwane groźby, protestacye i skargi.

— Niema zgody z wrogami! Zdradę nam knują. Nie wiercie, to królewskie machinacye! Precz z układami! Do szturm, obywatele! Chcą Igelströma ukraść naszej pomocy! Do broni! Uderzać!

Rozruch przybierał już niepokojące kształty i ogar-niając coraz większe tłumy, groził nawet przerwaniem

¹⁾ Układy.

armistitium ¹⁾, czemu Mycielski, jak mógł, zapobiegał, ostro występując przeciw krzykaczom. Na szczęście, pertraktacye skończyły się rychło i na niczem, bitwa rozpoczęła się na nowo. Ale szła jakoś ospale i bez dawnego animuszu. Snadź pokojowe układy osłabiły energię i porozdzielały opi-nię. Miasto bowiem szturmowania, niejednen głowacz deli-berował²⁾ nad Igelströmowymi paktami. A już byli powia-dający, jako Mokronoski uprowadził go z pałacu.

Wtem na ambasadzie po raz drugi wyniesła się biała chorągiew.

— Poddają się! Kapitulacya! Nie strzelać, obywa-tele! Igelström kapituluje!

Jakby na potwierdzenie, ze wszystkich okien pawilo-nów żołnierze jęli powiewać białemi chustami.

Kompanie Działających stanęły z bronią u nogi, zaś lud, wyległszy w ulice, cisnął się pod kraty, wycze-kując otwarcia bram i zdawania się załogi. Nikomu już ani w głowie nie powstały jakieś wątpliwości co do bezpie-czeństwa, gdy nagle cały pałac zamigotał i straszliwa sal-wa runęła w bezbronnie stojące ciżby! Przeszło sto ludzi padło trupem na miejscu.

Ryk zatrząśł tłumami. Szaleństwo wściekłości porwało wszystkich do walki na śmierć i życie. Dzikie, nieugaszo-ne pragnienie pomsty ponosiło, niby huragan. Uderzono na pałac.

Kiliński, rycząc, niby tur ugodzony, zachęcał do boju. Wojsko, lud, wyrostki, nawet kobiety, ogarnięte płomie-niami gniewów, rzuciło się z furją do szturm.

Ambasada utonęła w chmurach dymów, błyskawic i piorunów.

Widziano piękną Andzię na czele kobiet, podo-

¹⁾ Rozejmu, zawieszenia broni. ²⁾ Zastanawiał się.

bnych do hufca rozszroczonych dyablic,—rąbały mury siekierami i drągami.

Widziano, jak oficerowie na prześcigi z gemeinami, pięli się po wątych drabinach do szczytowych okien, a bici kolbami, spychani, szczerze oblewając krwią mury, darli się niepowstrzymanie.

Widziano setki ludzi pijanych zgoła szaleństwem boju, bez pamięci na żadne niebezpieczeństwa, w straszliwych ulewach kul nieustraszenie rozrywających kraty i mury.

Tysiące karabinów, kolb, toporów i drągów biło w pałac zapamiętałe i darło go bez wytchnienia.

Leciały na niego kłęby zapalonych paków, niby meteory, leciały kamienie, belki i dachówki.

Krew lała się potokami. Padali zabici i ranni. Padali śmiertelnie utrudzeni bez tchu i sił.

I napływały nowe fale z grzmiącym porykiem gniewów, zawziętości i niepokonanej mocy.

Pałac się jeszcze bronił.

Wreszcie porucznik Czapski ręcznym granatnikiem zapalił pawilon, mieszczący stajnie i składy.

Buchnęły ogniste grzywy płomieni.

Tryumfalny okrzyk wydarł się z piersi tysięcy. Wraz też i padły rozbite bramy, a straszliwie wzburzony potok werwał się w podwórza, roznosząc wszelkie zapory. W mgnieniu oka wdarto się do pawilonów i uderzono na sam pałac.

Moskale bronili się rozpaczliwie, że w braku kul strzelali guzikami i kawałkami żelaza.

Rozpoczęło się ostatnie, przerażające zmaganie. Ludzie nastawali na siebie jako wilcy i jako wilcy, tarzając się po ziemi, darli się zębami i pazurami. W ciasnych i zadymionych izbach, salach i korytarzach, na strychach i nawet dachach i w piwnicach toczyła się nieprzerwanie okrutna, śmiertelna walka. Ogień ogarnął wszystkie bu-

dowle i huczał, buchając krwawymi słupami, a czarne kiry dymów przysłaniały piekielny obraz mordów.

Nadarmo wróg wywieszał białe płachty: nikt mu już nie zawierzył. Nadarmo składali broń: nikt nie znajdował litości. Nadarmo rzucając się na kolana, wyli o życie: nie było miłosierdzia. Wycinano ich w pień. Zdrady i zbrodnie ponosiły słuszną karę.

Resztę pożerał ogień i rozszarpało na strzępy rozjuszone pospólstwo.

Kiliński jeden z pierwszych wdarł się na partykularne pokoje ambasadora, lecz Igelströma nie pochwylił: salwował się ucieczką do pałacu Krasieńskich, czem srodze zgryziony majster, zagarnawszy archiwa i resztę skarbcza, poleciał odbijać patryotów, uwięzionych w pałacowych podziemiach.

W tymże czasie po drugiej stronie Miodowej, w klasztorze Kapucynów, toczyła się również bitwa. Moskale, obsadziwszy jeszcze w nocy klasztorne gmachy, przyjęli następującego od strony ogrodów Kosmowskiego tak rzęsiwym i celnym ogniem, że atakujący, straciwszy przeszło dwieście osób w zabitych, rejterowali aż poza mury. Szczęściem granatniki Ojca Serafina, dobrze ubezpieczone, okryły odwrot, powstrzymując kartaczami występujących z bagnetem grenadyerów.

Dopiero kiedy Zaręba przyszedł w sukurs z domu Teppera, bitwa przybrała zgoła inny obrót. Porucznik bowiem, sprawiwszy ład w połamanych szeregach wojska i wolonterów, całą forszą, nie dbając na straty, uderzył z dwóch stron na klasztor. Bitwa z miejsca poprowadzona gwałtownie, przemieniła się pokrótce w obłąkańczą furę. Prawdziwy orkan spadł na cichą siedzibę Kapucynów. Bito się w sadzie, opłyniętym bładą zielenią pierwszych listków. Bito się w długich, grabowych szpalerach, sadzonych wzdłuż murów. Bito się na starym cmentarzu wśród odwiecznych

drzew, pozieleniałych sarkofagów, krzyżów i mogił zapadanych. Mordowano się na puszystych trawnikach, sadzonych żółtymi kwiatami kaczęńców. Krew obryzgiwała białe ściany klasztoru. Tratowano się na śmierć w żardzynie, gdzie w rabatach, grodzonych strzyżonym bukszpanem, pachniały śnieżyste narcyzy, gdzie po drózkach, posypanych żółtym piaskiem, rozlegały się jeno słowa pacierzów i brzęczenia różańców. Zabijano się na schodach i w długich, białych korytarzach, pełnych świętych obrazów, wiecznie płonących lamp, po celach i refektarzach. Walczono krwawo w kościele i po kaplicach. Walka wrzała wszędzie, na każdym miejscu. Kłębowiska ciał, ociekających krwią, niby gad stunogi, przetaczały się z okropnym wrzaskiem szaleństwa. Walczono nawet w podziemiach kościoła, za pełnionych stosami trumien dawno pomarłych braci. Przed Sakramentem, przeniesionym tam jeszcze z wieczora, klęczeli mnisi w trwodze i szlochach, modląc się o zmiłowanie.

Pod koniec bojów zabłądziła tam kupa żołnierzy, poszukujących schronienia; poukrywali się w ciemnych niszach i za ołtarzem, a poniektórzy, powyrzucawszy nieboszczyków, zajęli ich miejsca, przysłaniając się wiekami trumien.

Wytropiono ich i wycięto co do jednego. Już wszędzie leżały góry trupów, jęczeli ranni, płynęły rzeki krwi. Wszędzie panowała niepodzielnie śmierć i dziki szal mordów.

Zaręba prowadził bitwę w okrutnym i bezlitosnym zapamiętaniu.

Padł przy jego boku Maciuś, rozdarty bagnetami: ani spojrzął w jego stronę. Padł później ciężko ranny Kacper: zdawał się tego nie spozstrzegać, wszystek jeno w skupionej uwadze nad ewentami bitwy zamknięty, zimny, ludzkim uczuciom niedostępny — sama wola, jako brzeszczot, niemiłosierna i ku pogromieniu nieprzyjaciół straszliwie napięta.

W jakiejś chwili zjawił się Woyna, podobien widmu z szarej, zakrzepłej na kamień twarzy. Zajrzał mu w oczy głęboko, ścisnęli sobie dłonie mocno, na śmierć i rozeszli się bez słowa.

Woyna walczył, jak straceniec, i szerząc dokoła okrutne spustoszenia, padł śmiercią walecznych przy wdieraniu się do klasztornych korytarzów. Stało się to na oczach Zaręby: nie pozwolił sobie nawet na westchnienie, jeno rozkazawszy odnieść ciało przyjaciela pod kościół, czuwał dalej nad docinaniem wrogów.

I właśnie gdy już wytępiano ostatnich, ogromny, tryumfalny okrzyk oznajmiał o zdobyciu pałacu ambasady. I tam krwawa miotła śmierci wymiatała do czysta.

Jeno parę kompanii grenadyerów salwowało się z pod noża tłumów i płonących gmachów na ulicę, ale widząc drogi odcięte, bo i dom Gdański już był zdobyty i Baur kapitulował, zwarli się w czworobok pomiędzy pałacami Radziwiłłów i Chodkiewiczów, postanawiając drogo sprzedać życie. I nie ocalił się z nich ani jeden. Bowierni zbrojny lud, napływający ze wszystkich stron, runął na nich groźnie spiętrzoną falą. Jako kosiarze, kiedy pole z całego zboża kręgiem otoczą i wparłszy się mocno w ziemię, ciąć je poczną, kładąc, jakby wymierzone, pokosy za pokosami, tako i tutaj odbywała się ta straszliwie akurata kośba śmierci.

Aż wszystko się skończyło, na pobojowisku ostały jeno grudy pociętych trupów i krew, spływająca wartkim, spienionym strumieniem w ulicę Kapitulną.

Wojska ruszyły w pogoń za Igelströmem, uciekającym w stronę Żoliborza.

Lud zaś, rozgromiwszy ze szczętem ambasadę, pochwycił na ramiona Kilińskiego i wśród nieustających okrzyków tryumfów poniósł go na Zamek.

Właśnie w tej porze na sali sejmowej odbywało się zebranie najznacniejszych obywatelów, na którym imieniem Kościuszki ogłoszono Rząd Tymczasowy za ustanowiony. Kilińskiego powołano do jego składu. Generała St. Mokronoskiego proklamowano komendantem Księstwa Mazowieckiego, a Wysogotę Zakrzewskiego prezydentem Warszawy. Odprawowało się to przy grzmiących aplauzach arbitrow¹⁾, przepelniających salę. Wchodził bowiem, kto chciał. Cisnęły się też tłumy, powracające prosto z pola bitew, jeszcze ubroczone krwią, często w nieopatrzonych ranach, w strzępach ubrań, śmiertelnie utrudzone, a niby słońca, jaśniejące radością i szczęściem. Co chwila sala rozbrzmiewała potężnymi okrzykami na cześć Narodu, Kościuszki i Wolności.

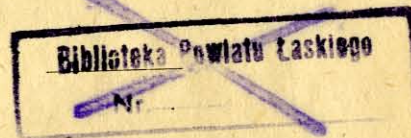
Insurekcya zwyciężyła. Wolność zatryumfowała nad tyranią.

Jeszcze wrzały potyczki w różnych stronach miasta. Tu i owdzie broniły się kupy żołnierów, pozamykane w domach, lub gromiono rabujących maruderów, ale Warszawa była wolna. Parę tysięcy moskiewskiego trupa zaległo ulice, drugie tyle poszło w niewolę, a reszta uciekała na wszystkie strony. Igelström, wymknąwszy się pościgowi, samotrzeć z Pistorem i Zubowem przedostał się do Prusaków.

Warszawę ogarnął szal upojenia. Stare Miasto i Krakowskie zapchane były rozwrzeszczanymi radośnie tłumami. Od pożarów, podnoszących coraz wyżej rozwichrzone, płomieniste grzywy, widno było na mieście. Świeciły wszystkie okna. Otwierano handle. Turkotały wozy, wywożące trupów. Dawały się słyszeć dalekie strzelaniny. Na każdym kroku widziało się nosze z rannymi, kałuże krwi, połamaną broń, zrabowane sklepy i rumowiska. Tu i owdzie

¹⁾ Okrzykach uznania, zadowolenia, publiczności.

dopalały się domy. Stosy ocalonych gratów zalegały ulice. Wojska i zbrojny lud biwakowały na placach i rozkładały się pod kamienicami. A wszędzie wrzała nieopisana radość i z serc, przepelnionych bezgranicznem szczęściem, zrywał się krzyk niebosięzny, mocniejszy nad śmierć: Wolność i Kościuszkol



27622